



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor Marian Gawalewicz.

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE Drukarni

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincji z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincji z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebiera i Spółk. kwart. 5 marek.

PRZY KOMINKU.

(Pogawędka).



Pomimo najszczerzej chęci przesiadywania jak najdłużej na werandzie i zachwycania się „ciepłą, złotą, polską jesienią” — skostnienie palców i złapany „gil” na nosie, zmusiły mnie do zwrócenia się ku Maryśce ze słowami:

— Zapal-no moja kochana na kominku, a pomyśl o dobre okien opatrzenie!...

— A no, chwalić Pana Boga, że pan na koniec szczerzy chłodek uczuł, bo to bez tego siedzenie na werandzie, a otwieranie ciągiem drzwi na nią, taki ziąb po pokojach chodził, że pani nasza ino mi chustki od nosa prac każe, a panienki zacierają rączki a narzekają: „To ci jesień!” — mówiąc. Paniczek tylko udaje zucha, bo pańskiej natury je, a może go sztuba tak grzeje i wiersze, które mi gorącuje się i pisze. No, no — ja nie widziałam jeszcze, ażeby taki mały i już był drukowany. Jako mi się widzi, to za tymi poetami w przedkości świata Bożego nie będzie można zobaczyć.

— Cicho, stara!... drzwi zamknij, ogień rozpal! Na czas dłuższy z werandą już się pożegnaliśmy...

Rzuciłem raz jeszcze wzrokiem na niebo zamglone, na drzewa obnażone już prawie, z których ostatnie opadały liście i cicho,

a z tajemniczym smutkiem jakimś ślały się na ziemię.

Dawno już nie napisałem żadnego rymu, jakbym z poezją wziął rozbrat, komu innemu lutni mojej spadkobierstwo zostawiając. Kto wie, może odrodzę się w tym dzieciaku, o którym stara sługa wspominała, a którego już drukują, odrodzę się ze stokroć większą siłą, choć wiem, że ten chleb pieśniarski ma dużo zawodów, boleści i krzyżów... Lecz przeznaczeniu nie myślę się sprzeciwiać: jeżeli ukocha pieśń — w niej znajdzie ukojenie w smutkach, pociechę w cierpieniach.

Sądzę, że wielki błąd popełniają rodzice, gdy z góry dzieciom swoim zakreslają drogi, jakimi iść mają. Ten wybór nie od nich zależy — powinien: dusza dziecka ma niewyraźne przeczucie przyszłości, bezwiednie miłość swoją objawia, zrozumieć tylko to ukochanie potrzeba, poprzeć je i ułatwić drogę.

Częstokroć w wyborze dróg kieruje rodzicami myśl o zapewnieniu materialnych potrzeb — w przyszłości, ten pieniądz, o który częstokroć rozbijają się najszlachetniejsze zamiary. Ale zdobycie go nie stanowi jeszcze szczęścia; dobrze gdy on jest, lecz gdy go nie ma, potrzeba koniecznie miłość jakąś znaleźć, któraby wypełnić mogła brak tych wygod i rozkoszy, jakie pieniądz dać może. Nie zawsze dzieciom można zapewnić materialną przyszłość, są więc inne dobra, które leżą w pragnieniach stokroć wyższych, w zaspakajaniu potrzeb duchowych, w ukochaniu ideałów pewnych, dla których poświęca się wszystko.

Bez nich życie może być wesołe, ale puste czeze, głupie i samolubne bezecnie; z nimi — może być smutne i pełne walk, ale potrzebujące złotymi kłosami czynów i mające, chwile wprawdzie, lecz takich rozkoszy, o jakich pełzające robaczki w dobrobycie życia codziennego, pojęcia nawet nie mają. Wieczna pogoda nuży i senność sprowadza, gromy i pioruny budzą. Walka każda jest dowodem potęgi pewnej.

Walka!... a koniec jej?...

O to nie pytaj!... Wygrasz czy przegrasz — przyszłość osądzi. Iluż to twórców wspaniałych myśli zniknęło, nie doczekawszy się ich wcielenia — zapoznani i wysmiani. Ale myśli uczciwe mają zawsze siłę rozrodczą, własność ziarn, którym gleby stosownej potrzeba. Czas przyjdzie — i wydadzą plon... a wtedy o tych zapoznanych i wysmianych mówić zaczną. Dlatego nie pytaj, jaki koniec będzie walki, którą prowadzisz: „Jam twardą opokę wytrwaniu bułatem — sam przez się bój jest rozkoszą,” — to dla ciebie! — plony tego boju kto inny zbierze — to dla pamięci twojej! Czy nie dosyć?...

W kominie błysnęło ognisko. Marysia zamknęła drzwi od werandy i — opieczętowała, a ja patrzyłem na niebo, na drzewa z osypującymi się liśćmi, na jakiś ruch napowietrzny, na jęk z tamtąd płynący.

To odlatywały żórawie czarną smugą trójkątu — leciały wysoko, co wedle obserwacji ludu, ma oznaczać rychłe zimy przybycie.

Odlatują bociany, żórawie — snadź już od-

prawiły sejmy swoje przedpodrózne, zrobiły przegląd szeregów, zmierzyły siłę swych skrzydeł.

Wciąż smutniej, smutniej — ostry wiatr chłodzi,
Tchem piersi swojej gna deszcze —
Słońce się w mglistej kołysze lodzi,
Liść zeschły przykro szeleszcze;
Zalśnił purpura, zabłysnął złotem,
Z królewską iście lśnić pycha...
I jak bronz zczerniał — i opadł potem,
Na ziemi ścieląc się cicho.
Ta mgła, ta wilgoć, to senne słońce,
Do bram spieszące zachodu —
Ten posiew liści: to pewni gońce
Królowej śniegów i lodu.

Ku południowi, ku róż krainie,
Gdzie oliw i cytryn gaje,
Płynie rój ptaków — wraz z niemi płynie
Wesele — smutek zostaje.
Słychać szum w górze... Zbitą gromadą,
Pośród świecących łąk błotem,
Żorawi szarych opadło stado
Na walny sejm przed odlotem.
Wśród nich był jeden — leciał na końcu,
Lecz chyżość piór swoich kłamał; —
Przeciwno wichrom chciał biedz ku słońcu
I lotne skrzydła połamał.

Opadł zmęczony... Wzrok miał posepny,
Krwia świeżą pierś mu się krwawi —
A wódz gromady zabrał głos wstępny
I wiec zagaił żorawi.
Co tam szeptali bracia równieśni,
Jaka uchwała zapadła —
Kto żorawiane zrozumie pieśni
I przejrzy dusz ich zwierciadła?
Po sześćkroć razy — ba! może po sto,
Wódz szyki posłuszne sprawa —
Nagle stó dziobów runęło prosto
W pierś nieszczęsnego żorawia.

Upadł... Spojrzeniem gonil ostatniem
Wesołe druchów swych gony —
Wodził oczyma za kołem bratniem...
I konał... w dal zapatrzony.
Na lekkich skrzydłach mknęły żorawie,
W przestrzeń błękitów bez końca,
Przeciwno wichrom szarej kurzawie,
Do tego samego słońca.
A ten, co wskazał gościniec nowy,
Droge gwiazdami okrytą:
Złamanem skrzydłem otulał głowę,
Umierał z pierśią rozbitą!

Dobrze tak tobie, zuchwały ptaku!
Co w niebo chciałeś uderzyć,
Stanąc na słońca ognistym szlaku,
I niezmierzoną głąb zmierzyć:
Dobrze tak tobie!... Miałeś wzrok hardy,
Nad inne wyniosłe czoło,
Dla serc lekliwych uśmiech pogardy
I pragnień za wielkie koło.
Tych, którzy nowe gościńce żłobią
I gorycz zawodu piją:
Wrony napadną, kruki zadziobią,
Rodzeni bracia zabiją!...

Anim się spostrzegł, jak mi z pod palców wiersz wypłynął, niby odpowiednik do myśli powyżej rzuconych. Dzięki wam, żorawie! za tę chwilę natchnienia, za tę rozkoszną chwilę, którejbym nie oddał za dobrobyt magnata niejednego. Nie zrozumiecie, filistrzy! tych słów, bo w czemże ta rozkosz spoczywa, w czem? że rytmicznie wiersz się układa, że rymy wiążą się z sobą w dźwięki bliźnie, że szeregują się wiersze i strofy?... Tak! wiedcie, że tak!... Ale jak przytem serce bije... Dość tylko tego bicia serca, by odrzucić złoto, którebyście w tej chwili wysypali przede mną.

— Ale — na Boga!... jest-li to pogadanka

zwyczajna, kronika wypadków codziennych? tak-że dziwnie waćpana usposobił buchający ogień na kominie?..

Pst!... nie mówcie mi w tej chwili o kominku, bo drugą jakąś odę napiszę i popsuję szpalty przeznaczone dla spraw bieżących. Ażali nie wiecie, że właśnie przy kominku siedzą duchy w najśłoneczniejsze wspomnienia zakłète? ażali nie wiecie, że bez kominka żaden modrzewiowy dom się nie obszedł? że nigdy i nigdzie, tak, jak przy nim, fantastyczniejsza baśń się nie plotła? że owe legendy i podania, z których najwspanialsze poematy powstawały, i wawrzynami czoła piewców otoczyły, zrodziły się przy pełgających płomykach staroświeckiego kominka, przy którym dziadki i babcie siadywali, bawiąc wnuczeta opowiadaniem z tysiąca i jednej nocy? Dziś budują się wygodne, wykwentne domy... jeno bez kominków — i zmroczyl się zaczarowany świat legend i baśni, fantazyja usnęła.

— Zmądrzeli ludzie.

— Prawda!... herezyę jednak wypowiem: Z tą mądrością i życie poszarzało!...

— Minał czas złudzeń — trzeba życie brać tak, jak ono jest...

— To też bierzemy je, bierzemy... że, aż... brrr!...

Dość tego! czekają sprawy bieżące.

„Polski ołówek szkolny!...”

— A to co?...

— A no—rzecz bardzo i bardzo nawet należąca do spraw bieżących, malutki figielek naszych najserdeczniejszych, którym, bądź co bądź, niepodobała się pewno odporność naszego społeczeństwa, jaka się objawiła w stosunku do panów fabrykantów niemieckich. Ów „ołówek szkolny“ pojawił się dopiero na gruncie galicyjskim, ale jest nadzieja, że w braku przezorności z naszej strony, i do nas by zawitał i ładnie brzmiącym napisem skusił. Widocznie, że panowie fabrykanci niemieccy zauważyli, iż trochę odwrócono się od nich, co oczywiście niezbyt dobrze na ich interesy wpłynęło; zauważyli, że dawne zdanie o nas, u nas-że wyrosło: „Francuz wymyśli, Niemiec zrobi, Polak głupi wszystko kupi“—traci coraz bardziej na wartości i że zaczęliśmy więcej, niż dawniej, samych siebie szanować. To wcale im się nie podobało, a że najmędrsza mucha na lep wziąć się może—tego lepu na początek z onym ołówkiem szkolnym, użyć zapragnęli. Oto, co nam donosi „Dziennik Polski“:

„W tutejszych sklepach żydowskich pojawiły się ołówki, nie mające na sobie firmy fabrycznej, a natomiast duży, czytelny druk: *Polski ołówek szkolny*. Postanowiliśmy zbadać pochodzenie tych ołówków, i oto okazało się, że pochodzą z fabryki niemieckiej w Norymberdze, która owym napisem usiłuje przemiścić swój towar do nas. Ostrzegamy przeto publiczność, że ołówki nie posiadające firmy, lecz napis: „Polski ołówek szkolny“, nie są wyrobem polskim, jeno niemieckim, obliczonym na wyciąganie pieniędzy naszych za granicę, na cele hakatystyczne.“

Ostrzeżenie bardzo na dobie, bo nie jeden, który zarzekł się brać jakiegokolwiek bądź wyroby niemieckie do rąk swoich, zachęcony owym napisem, okrutnie patryotycznie brzmią-

cym — mimo woli i chęci stałby się popieraczem fabryki niemieckiej. Bezcelne to podejście ma tę dobrą stronę, że widocznie opór nasz ma pewne znaczenie i może zaważyć nieco na szali handlu niemieckiego, kiedy taka norymberska fabryka aż do podobnego szwindlu się wzięła. *Sapienti sat!*

Do bardzo miłych wiadomości należy ta, że nareszcie Warszawa stała się posiadaczką arcydzieła Matejkowskiego, obrazu olbrzymich rozmiarów, jakim jest „Bitwa pod Grunwaldem.“ Obraz ten był własnością p. Rozenbluma, kupiony w swoim czasie od mistrza za sumę 60,000 rubli (jeżeli się nie mylimy). Dzięki ofiarności właściciela, który sumę tę niemal o połowę zmniejszył, można było to dzieło wspaniałe nabyć i ozdobić nim jeden z największych salonów Wystawy Sztuk pięknych. Pomimo jednak tak bardzo niższej ceny, nie łatwo byłoby zebrać 25,000 rubli, gdyby nie gorliwe krzątanie się około tej sprawy dra Karola Benniego, który nie żałował czasu i trudu, biegał, krzątał się, namawiał, zachęcał, aż potrzebna summa została zebrana, i skutek pożądany zabieg zacnego doktora uwieńczył. Słyszałem, że „wdzięczni“ chcieli mu za to bibkę wyprawić; nie dali wprawdzie ci „wdzięczni“ ani grosza na „Grunwald“, ale bibka ma to do siebie, że ci *feciarze* (od fetowania) na łamach pism znaleźliby się i choć przez dni parę gadanoby o nich, sami zaś najedliby się i napili, *vivat!*—krzycząc. Ale bibka nie przyszła do skutku, bo doktor obliczyć miał minimalne jej koszty i zaproponował składkę na nowy obraz. To się *feciarzom* nie podobało i ot tak jakoś „uczczenie“ w powietrze się rozwiało.

Od bardzo już dawna nie wspominaliśmy słowem jednym o wyścigach na polu Mokotowskim, które, bez totalizatora nie miałyby racji bytu. Bardzo wielu wyobrażenia przybliżonego nawet nie ma o sumach, jakie się obracają podczas tej pańskiej zabawy. Wykazanie ich da nam dopiero pojęcie o kłęsce, jaką hazard pociąga za sobą. Obroty totalizatora są tak same przez się wymowne, że podajemy je poniżej bez komentarzy.

Obroty totalizatora na polu Mokotowskim, za czas poczynszony od r. 1899-go do ostatniego dnia wyścigowego w sezonie bieżącym, wynosiły: Rok 1899, wyścigi wiosenne 1,986,740, jesienne 2,149,350, ogółem 4,136,090 rubli. Rok 1900, wiosenne 1,946,580 rubli, jesienne 1,808,850, ogółem 3,755,430 rubli. Rok 1901, wiosenne 2,156,540, jesienne 2,374,770 rubli, ogółem 4,531,310 rubli. Rok 1902 (z pominięciem ostatniego dnia wyścigowego) wiosenne 1,869,590, jesienne 2,204,920, ogółem 4,074,510 rubli. Razem za ubiegłe cztery lata totalizator obrócił olbrzymią sumą 16,497,340 rubli!... Z powyżej przytoczonych cyfr widzimy, iż w porównaniu z rokiem ubiegłym obrót w r. b. wyniesie mniej o sumę około pół miliona rubli.

Te półmiliona mniej, jest jednym punktem jaśniejszym na ciemnym niebie pola Mokotowskiego.

Ileż to pieniędzy się trwoni, a ileż potrzeb, a ileż braków jast naokół, a ileż zagrożonych pamiątek!...

Ba! jak tu myśleć o rzeczach takich, gdy naszym panom hodowcom zachciało się dru-

giego jeszcze toru wyścigowego — dla kłusaków z gubernii Orłowskiej. Oczywiście, że i ta hodowla biegunów, mająca nową rasę dać krajowi, obyćby się bez „totka“ nie mogła. Słowem, na gwałt dobroczyńcę chcą z tego „totka“ zrobić, licząc na lekkomyślność ludzką i — głupotę.

Serdeczny nasz pieśniarz Or—Ot i jego „Stare-Miasto“ pojawiło się na pocztówkach. Pocztówki składają się z dwóch kart złączonych z sobą; strona wierzchnia przeznaczona jest na adres, środek (dwie strony) zajmują: stosowna rycina i wiersz, ostatnia — na list. Serya I-sza (jest nadzieja, że będzie druga), składa się z jedenastu pocztówek dwustronnych; cykl rozpoczyna bardzo dobrze wykonana podobizna autora i przesliczny wiersz wstępny, rodzaj wezwania do Starego-Miasta:

Stare-Miasto! Warszawy relikwiarzu święty,
Pleśnią wieków porosły, mgłą ich przysłonięty,
Zadumany, jak starzec wyniosły i krzepki,
Co z miłością pogląda na wnucząt kolebki,
Co, opiekun pokoleń, wschodzących na grobie,
Napoly się uśmiecha, napoly w żalobie,
Zarannej gwiazdy szuka na pochmurnem niebie,
Stare-Miasto! i witam, i pozdrawiam ciebie!

Z Mickiewiczowska to coś brzmi.

Pocztówki podobne są prawdziwą nowością na bruku warszawskim. Ryciny wykonane dobrze, o wierszach zaś nie mówię — przecie „Stare-Miasto“ Or—Ot pisał.

Kazimierz Głiński.



METAFIZYK.



Pan Stanisław był człowiekiem wielkiego wykształcenia i głębokiego umysłu. Należy podnieść te dwie zalety zaraz na wstępie, bo one nie zawsze chodzą w parze.

Już w Krakowie, gdzie na uniwersytet się zapisał, — potrafił wybić się nad szary tłum tak powagą słowa, jak i wytwornością obejścia, — a więc przymiotami cennymi i użytecznymi w walce o byt, tem bardziej, że zdanie tłumowi jest niepoważne, a obejście niewytworne, Zresztą on nigdy tłumowi nie uwzględniał, pracując w cichości dla siebie, jeśli się zaś wynurzał czasem — to tylko wtedy, gdy pewny był, że wygłoszeniem swych zapatrywań nie wywoła fałszywych dźwięków w duszach słuchających. Bo pan Stanisław, jako filozof, nie lubił „nieporządných wzruszeń umysłu.“

Był cichy, spokojny, dobry i wiedział o tem; a ta świadomość właśnie dawała jego słowom i jego życiu tę pogodną równowagę, która zdobi jedynie prawdziwie wyższe umysły.

Mimo tę niepozorność szybko zwrócił na siebie uwagę ludzi inteligentnych; bo wkrótce poczęto go zapraszać na herbatki i śniadania literackie i tym podobne „symposiony“, na których on wprawdzie mało mówił, ale obecni z ócz jego łatwo wyczytać mogli, że wszystko rozumie i głęboko w duszy rozważa.

Raz tylko, przy sposobności jakiegoś jubileuszu, rozgadał się pan Stanisław na dobre, a to wystąpienie tak olśniło zgromadzonych,

że już go młodzież na rękach chciała nosić i poczęto, na prawdę, przypuszczać, że on szkołę stworzy. Obawy były nieuzasadnione, bo pan Stanisław ludzi za sobą porywać nie chciał, — a jeżeli już przy uczcie głos zabrał, to uczynił to, idąc za popędem najwyższych pojęć piękna, sprawiedliwości i prawdy: pojęcia bowiem zastępowały w nim uczucie.

Wzniósł tedy kielich na cześć gościa, siedzącego u szarego końca biesiadnego stołu. Był nim młody, nieznany malarz, zaledwie stawiający pierwsze kroki po ciernistej ścieżce sztuki.

Pan Stanisław nie uląkł się oryginalności pierwszego, niemal publicznego występu — ale głosem spokojnym i pewnym podniósł zasługi niedocenione.

A mówił mniej więcej tak:

— Jeszcze jeden toast wzniesie należy — toast na cześć człowieka, który żyje i tworzy dla idei. (Tu przerwały mu gromkie oklaski, bo słowo „idea“, publicznie wypowiedziane, zawsze budzi zasłużony entuzjazm). Panowie! — mówił dalej, — i panie łaskawie słuchające, jest tu wśród nas młody malarz, który maluje dobrze, bo rozumie i kocha formę. Nasze społeczeństwo w pracy i poglądach swoich kieruje się zbyt niemożliwym uczuciem. Nie pojmujemy sztuki dość spokojnie, — piękny obraz wywołuje w nas bicie serca, nie zmusza jednak niestety do mlaskania ustami. A piękna linia powinna być dla ludzi kulturalnych smaczną, powinna do tego mlaskania ustami zniewalać. Forma jest wszystkim — bajka koniecznością zewnętrzną. (Tu przerwał i znów zagrzmiwały oklaski). — Rozpoczynającemu artyście — kończył — życzę pomyślności na drodze mozolnej pracy, która go czeka — pracy, która ma przetwarzać ludzi serdecznych, lecz odzianych w futra, w Greków, w synów Quinquecenta! Wznoszę mój kielich na cześć...

Tu wymienił nazwisko malarza.

Jednakże przyjęcie tej mowy, acz pokrytej burzą oklasków — nie było tak gorące, jak można się było spodziewać. Jedno jedyne „Bardzo dobrze, bardzo dobrze“, które doleciało do uszu pana Stanisława z ust mecenasa Halskiego — nie wystarczało panu Stanisławowi, świadomemu wartości własnych słów. Mimo to nie zraził się, rozumiał bowiem, że tłum, chociażby z ludzi inteligentnych złożony, potrzebuje do druzgocącego wzruszenia większej ilości słów jędrnych, lapidarnych. A on właśnie takimi słowami pogardzał.

Siedział więc do końca uczt, nie mówiąc ani słowa do swych sąsiadów, pograżony w myślach.

Dopiero po biesiadzie, gdy mężczyźni zeszli się w osobnym pokoju, by zapalić cygara — przyszła dlań niespodzianie owa chwila, w której całą swą świetność okazał. Kilku panów zbliżyło się do niego, chcąc mu rękę uściśnąć, powinszować przemówienia. Odrązu otoczono go i wszczęła się rozmowa ożywiona, do której tematu treść toastu nasuwała. W dyskusji tej pan Stanisław przeszedł sam siebie, to też słuchano go z natężoną uwagą, a on mówił spokojny, wszechstronny wiedzą.

Zaczęto od poczucia formy, od poglądów na kulturę u poszczególnych narodów, zaczęto dyskusja przeszła w dziedzinę inną, do wpływów filozofii na sztukę, potem do filozofii

„czystej“, do metafizyki. Rozprawa przeciągnęła się do późnej nocy — aż wreszcie sąsiad z prawej strony pana Stanisława wstał i rzekł do mecenasa Halskiego, który również o spoczynku myśleć poczynął:

— Ten Stanisław, to zrównoważona głowa. To chłopak z przyszłością!

A mecenas dorzucił, kiwając głową:

— Byleby się nie zmarnował!

I dobrze rzekł. Bo tego rodzaju umysły nieraz się marnują, bądź przez brak należytego zrozumienia u współobywateli, bądź w skutek intryg i osobistych niechęci niższych duchem jednostek, — intryg, których ludzie tacy, jak pan Stanisław, pojąć nie mogą, ani zająć wobec nich jakiegoś obronnego stanowiska.

I to jest właśnie nieszczęściem ludzi, wyrosłych tłumom po nad głowy...

Tymczasem obawy mecenasa Halskiego na pozór sprawdzać się poczęły. Po kilku już bowiem miesiącach spostrzegł pan Stanisław, że podziw i sympaty, które dla siebie potrafił wzniesić wśród inteligentnych sfer miasta, ziębną, słabiej. Zapraszano go wprawdzie zawsze, ale on czuł, że to nie był już jego „sezon.“

Raz nawet, u Hawelki, gdy, skromnie ukryty w kątku, popijał piwo, zestawiając w myśli trójząb Paracelsa z siedmiu kościołami Apokalipsy, usłyszał z przyległego bufetu głos mecenasa Halskiego, który nie wiedząc o jego obecności, mówił: „Ten Stanisław to nudna figura. Pretensjonalny, pozuje na niebanalność.“

Ubodły go te słowa, zwłaszcza, że wypowiedział je człowiek, dla którego i o którym pan Stanisław miał pojęcia życzliwe. Ale nie uniósł się. Owszem rzekł spokojnie do swej pogodnej duszy:

— Ludzie słabi są i mam dla nich pobłażliwą wyrozumiałość.

Poczem zapłacił, wstał i wychodząc, przeszedł umyślnie koło mecenasa, któremu serdecznie dłoń uściśnął. A tak czynem stwierdził wyniosłość myśli.

Po trzechletnim pobycie w Krakowie pan Stanisław nie zmienił się wcale. Była to natura zbyt indywidualna, choć nie wybuchająca nigdy burzami czynów, — by ulegać mniej lub więcej korzystnym wpływom miasta. Wiele czytał, kształcił się — w sercu jednak zawsze tym samym pozostał, pomny na słowa Nietzschego, że nie sama wzniosłość uczuć ale ich trwałość tworzy wielkich ludzi.

Nie mniej małe miasto męczyło go. Czuł to i rozumiał.

To też pewnego poranku, gdy z łóżka wstając, nie mógł znaleźć zarzuconej gdzieś ważnej części odzieży, — usiadł w koszuli na fotelu przed biurkiem i w te słowa odezwał się do swego mądrego serca:

— Oto trzy lata siedzę tu, w Krakowie Mam dla tego miasta wdzięczność, bo mnie serdecznie przyjęło i choć częściowo oceniło moją wartość, nie widząc przeszkody w młodym wieku moim, owszem przeczuwając wyrobienie i dojrzałość niezwykłą. Miasto to ułatwiło mi rozwój moich myśli i wykształcenie. Do uniwersytetu nie zaglądałem ni-

Polki w współczesnej literaturze i sztuce.



III.

Eliza Orzeszkowa.

(Dokończenie).

Trudno na to dać jakąkolwiek odpowiedź; ale dała ją za nas sama autorka...

Zadaniem powieści nie jest samo odzwierciedlenie życia; osiągnięcie fotograficznej wierności w kopiowaniu prawdy jest nawet zgoła niemożliwym — a zresztą — nawet i bezcelowym.

Idealny świat sztuki opiera się tylko na fundamencie prawdopodobieństwa — i jeżeli artysta zdoła wytworzyć taką atmosferę, w którejby czytelnik nie czuł się skępowanym, zdziwionym i niepewnym — o ile potrafi go przekonać — nie rozumowo nawet, lecz drogą artystycznej sugestii — że jego słońce świeci i grzeje, jego natura i ludzie żyją, jego idee zcierają się i walczą — to już dopiął swego celu...

A któż z nas oprze się urokowi tej mesyanicznej siły, jaka bije od Meira? kto mu nie współczuje, kto nie cierpi z nim razem, kto nie pragnie z całej duszy jego zwycięstwa?

W ogóle Orzeszkowej zarzucano nawet, że nie tworzy ona typów, gdyż pojedyncze postaci w jej utworach są zawsze trochę niewyraźne i nie posiadają wybitnych rysów znamennych.

Ach — to nieprawda!

Tylko serce autorki „tak jest utworzone, iż nienawidzieć, ani pogardzać nie zdoła,” ale za to kochać umie i musi, i to kochać głęboko, poważnie.

Ztąd płynie pewna idealizacja; ztąd umiejętność rzucenia na szarą i kaleką duszę takiego światła, które wyprowadzi na jaw jedyną jej piękną stronę, dla innych oczu często zgoła niewidoczną...

W r. 1870-ym przeniosła się Orzeszkowa ze wsi do Grodna; okoliczność ta wpłynęła na rozszerzenie jej obserwacji; dlatego to w drugim okresie jej twórczości w obrazkach jej i nowelkach, oprócz żydowskich, znajdujemy i inne żywioły miejskie („Julianka,” „Milor,” „Czternasta część,” „Sielanka nieróżowa”) — a i w poprzednich powieściach, zwłaszcza w „Elim Makowerze,” odtworzone są z dużą prawdą sceny z bruku „Ongrodu,” czyli Grodna, i „Onwilu” — czyli Wilna.

Wspomniane wyżej drobne obrazki z życia miejskiego, stanowiły przejście do trzeciego, najwspanialszego okresu twórczości Orzeszkowej, który wyniósł ją na wyżyny obecnej sławy i dostojeństwa w hierarchii artystycznej.

Obserwując życie w szerszych granicach, już w osobie Idelfonsa Poryckiego („Eli Makower”) Orzeszkowa uczyniła pierwszą próbę odmalowania zatrutych prądów, idących z ognisk cywilizacyjnych — i pierwszy raz użyła w literaturze naszej wyrazu „nihilista.”

W okresie, o którym mowa, umysł jej zaczął się coraz pilniej zwracać ku znamienym objawom współczesnego życia i doszukiwać się tego łożyska, jakim płynęły jego wartkie, a niespokojne fale.

Celem jej stało się ujęcie tych zjawisk — i wcielenie ich znajdujemy w takich utworach, jak: „Sylwek Cmentarnik,” „Widma,” „Pierwotni,” „Zygmunt Ławicz” i „Bańki mydlane,” i w szeregu obrazków, głęboko odczuty, jak np. „Romanowa” i „A. B. C.”

Ale to była tylko zapowiedź tej wielkiej panoramy życia, jaką Orzeszkowa roztoczyła przed nami w kilka lat później... Była to przygrywka do olbrzymiej, potężnej pieśni, przygrywka piękna wprawdzie, ale jeszcze pełna wahań i niedomowień...

W tym samym czasie odezwała się w duszy autorki nowa dotąd drzemiąca struna — tęsknota do wiejskiego dworu i szerokich pól.

Umysł jej, znudzony zagadnieniami społecznymi wielorakiej natury, zaczął szukać wytchnienia u czystych źródeł pierwotnej przyrody i prostych, nieskażonych uczuć...

I wtedy to Orzeszkowa prawie wyłącznie czerpać zaczęła tematy z dwu sfer: z życia ludu białoruskiego i szlachty okolicznej. Pojawił się szereg drobnych, przepięknych obrazków. „Echo,” „Za doliną róż,” „Tadeusz,” „Gedali,” „Przy dochodzeniu śledczem,” „Romanowa” — i znów autorka zamilkła na chwilę, jakby zbierając siły do wypowiedzenia się ostatecznego...

I rzeczywiście — po krótkiej przerwie z pod pióra jej wyszły takie arcydzieła, jak: „Dziurdziowie,” „Nad Niemnem,” „W zimowy wieczór,” „Cham” i „Bene nati.”

Wszystkie te powieści wprowadzają nas w świat całkiem nieznany, a odmalowany z taką prawdą realną, zaludniony taką mnogością typów niezwykle pięknych a oryginalnych — że ogarnia nas na widok tego bogactwa zachwyt i zdumienie.

Nikt przed Orzeszkową nie dał nam tak prawdziwych, a tak szeroko zakreślonych obrazów życia ludu, a co się tyczy zaścianków, to po Mickiewiczu, nikt nawet do nich nie zaglądał.

Dlatego też nieocenioną zasługą Orzeszkowej jest zapoznanie nas z tym światem, takim obcym, a takim pięknym.

„Słusznie ktoś powiedział,” pisze Drogoszewski: „że utwory Orzeszkowej posiadają nieoszacowaną wartość historyczną i etnograficzną, gdyż wystąpiły w nich uderzająco dobitnie społeczne, przyrodnicze, duchowe, językowe nawet właściwości życia litewskiego. Po zapoznaniu się z temi utworami, czujemy, iż w udziale nam przypadły tego rodzaju zdobycze umysłowe, których dostarczyćby nam nie mogły książkowe badania, ani nawet bezpośrednia, lecz dorywcza znajomość kraju, a to dlatego, że zamiast rysów odosobnionych i wzajem od siebie niezależnych, przedstawiono nam całość, w której wszystkie szczegóły ustosunkowały się należycie i zspoliły w ciału organiczne, by wywrzeć jednolite wrażenie.

We wszystkich wyżej wymienionych utworach bezwarunkowo można doszukać się tendencji społecznej, ale autorka nie nagina do niej toku akcji, nie przykrawa postaci; przeciwnie — tendencja ta wyłania się tylko z opisywanych przez nią scen, jak głęboka myśl z oczu mędrca.

Utworem, najlepiej uwydatniającym znaczenie Orzeszkowej w naszym piśmiennictwie, jest niezaprzeczenie powieść: „Nad Niemnem.”

gdy, bo mierność profesorów nie potrafiła mnie zająć. Ale teraz widzę jasno, bo mam bardzo trzeźwy zmysł krytyczny, że Krakowa więcej nie potrzebuję i że już czas, bym zamknął ten okres, który w życiu mem „okresem krakowskim” zwać się będzie. Trzeba mi teraz wielkiego miasta, w którym „pojęcia ogólne” szerszy i szerszy oddźwięk znajdują. Ostatecznie Kraków jest dziurą, dobrą na jakiś krótki czas, ale po tym pewnym czasie szkodliwą dla takich, jak ja umysłów, bo rozgoryczającą małostkowością. Nie mam dość pieniędzy, by rozwijać się dalej w Wiedniu, Berlinie lub Paryżu, — dlatego przeniosę się, *faute de mieux*, do Warszawy, gdzie mam starą ciotkę, kobietę poważną i mogącą mi dać gatunek „ogniska domowego,” do którego, starzejąc się, tęsknię.

W tydzień po tej rozmowie z samym sobą pan Stanisław wyjechał do Warszawy.

Ciotka przyjęła go bardzo serdecznie, — zamieszkał więc u niej jedynie dlatego, by odmową nie zrażać pocziwej wdowy.

Mimo jej brak ogłady i wykształcenia, przypadli oboje bardzo łatwo do siebie, bo znaczne kobiecisko braki umysłowe pokrywało szczerymi dowodami serca. Więc ujęła go od razu tą prostotą, duszom „pierwotnym” właściwą, co więcej, potrafiła wymódl na zimnym filozofie odstępstwo od jednej z jego zasad.

Rzecz się tak miała:

Pan Stanisław, lubo dopiero dwadzieścia cztery lata liczył, miał zapatrywania istotnie nad wiek wyrobione i poważne. Jednym z tych zapatrywań była stanowcza odraza do małżeństwa, które, idąc w ślady już wymienionego, wielkiego myśliciela, uważał za instytucję szkodliwą dla potężnych duchem jednostek.

Rozmowa na ten temat zdawała się więc wprost niemożliwą między ciotką a bratanikiem — a jednak pan Stanisław uległ, nie siłą dowodzeń, nie przekonany — ale podbity jakimś nieokreślonym urokiem, w który dobrodusznia niewiasta umiała ubrać tę przyszłość, której jemu życzyła.

I istotnie nie zła to była przyszłość. Bo małżeństwo z panną posażną dawało metafizykowi, cierpiącemu dotychczas, jeśli nie niedostatek, to przynajmniej rozliczne niewygody, zupełne zaspokojenie wszelkich potrzeb, mieszkanie ciepłe i obszerne i pracownię wykwiintną a niezbędną dla filozofa. Co więcej, przeżucie rozumnego człowieka mówiło mu, że z czasem, z wiekiem, stanie się wrażliwym i czułym na uciechy stołu, a ożeniwszy się nie będzie zmuszony odmawiać sobie tych uciech, ni liczyć się z jakąś małomieszczańską, wstrętną mu drobiazgowością. Posiadanie własnego domu, majątku rzucało mu na tę przyszłość jakąś ponętą powagę, której dla autorytetu swych myśli i swej inteligencji pragnął i pragnąć musiał — zwłaszcza dziś, gdy wiedział z doświadczenia, że brak takich zasobów materialnych wartości jego moralnej doceniać nie pozwalał... Wreszcie... przecież o jakimś zawojowaniu tak wybitnego indywidualizmu przez słaby pierwiastek niewieści mowy być nie mogło.

Zygmunt Dzierżykray-Morawski.

(Dokończenie nastąpi).

Przedstawiając chwilę obecną, Orzeszkowa ma zwyczaj szukać wytłómaczenia jej zjawisk życiowych w tej epoce przełomowej, której jest sama dziecięciem, i obserwować je, jako skutki dawniejszych przyczyn.

W „Nad Niemnem“ porusza ona kwestyę tej jedności szlachty i ludu, która dawniej istniała — i mimo różnorodnych przyczyn, jakie wpłynęły na jej rozbitcie — powrócić powinna.

Pod względem zakroju swego, niezmiernie szerokiego, „Nad Niemnem“ uważać należy za potężne epos, stykające się z „Panem Tadeuszem“, — i właśnie ten zakrój epiczny stawia tę powieść na wyjątkowym miejscu wśród obyczajowej powieści polskiej.

A chociaż nie jest to najpiękniejszy utwór Orzeszkowej, chociaż za wyżynowe punkty jej artystycznej dojrzałości należałoby może uważać „Chama“ i „Bene nati“, — ale „Nad Niemnem“ zawiera najwięcej znamiennych cech działalności twórczej autorki — i służy za klucz do rozwiązania zagadki jej ducha.

W ostatnim dziesięcioleciu swej pracy twórczej Orzeszkowa obdarzyła nas szeregiem drobnych obrazków pod ogólnymi tytułami: „Melancholicy“, „Iskry“ i „Chwile“, — przesłaniczną sielanką „Pieśń przerwana“ i wreszcie trzema powieściami „Dwa bieguny“, „Australczyk“ i „Argonauci“.

W utworach tych Orzeszkowa zwraca się jednocześnie na dwie strony: w jednych, jak np. w „Melancholikach“, rozważa zawile zagadnienia etyczne, w drugich, jak np. w „Iskrach“, porusza chętnie sprawę przywiązania do ziemi rodzinnej i powraca jakgdyby do owego punktu wyjścia, z którego trysnęła jej moc twórcza...

W „Dwóch biegunach“ porusza ten sam temat, jaki Sienkiewicz opracował w „Bez dogmatu!“. Tylko Orzeszkowa Płoszowskiego, który u niej nosi nazwisko Zdzisława Groszowskiego, pojęła inaczej: dla niej nie jest on ofiarą prerafinowanej kultury umysłowej i estetycznej, ale raczej sybarytą, nie tyle nie mogącym, ile nie chcącym wejść na tory czynu i owocnej działalności społecznej.

„Australczyk“ — to człowiek, goniący za karierą — i przede wszystkim za karierą... Chciałby on zrzucić z siebie wszelkie brzemie obowiązków i niczem żgoła nie ograniczać swych upodobań i słabostek.

Dla karyery tej rzuca on gniazdo rodzinne, szuka jej gdzieś po obcym świecie — ale pogwałcone uczucia mszczą się na nim, i wraca w końcu do Darnówki, aby zakasać rękawy i w pocie czoła pracować na roli...

„Argonauci“ obracają się w kole tych samych zagadnień, co i „Australczyk“.

I tutaj mamy karyerowiczów, którzy dla majątku handlują pamiątkami ojczystymi — ta tylko różnica, że są to już „australczycy“ *par excellence*, których serca wyziębły do ostatniej isierki uczucia.

Prócz tego spotykamy tutaj obraz nowych kierunków estetyczno-etycznych, i modernizm, dekadentyzm, prerafaelici, nazarejczycy bez ustanku nasuwają się nam na oczy.

W przeglądzie działalności pisarskiej Orzeszkowej, aby nie przerywać toku kształtowania się jej poglądów, opuściliśmy powieści historyczne, osnute na tle starożytnym.

Mówimy tu o „Mirtali“, „Westalce“ i „Czcieliu potęgi“.

Są to rzeczy niezaprzeczenie piękne, obfitujące w niezmierną mnogość szczegółów i ozdób starożytniczych.

Na zakończenie postaramy się dać krótką syntezę działalności i zasług Orzeszkowej.

Zarzucono jej niejednokrotnie, że refleksya przeważa u niej nad wyobraźnią i zabija piękno. Czy to prawda?

Zgodzimy się bez wątpienia, że Orzeszkowa nie posiada wyobraźni tak giętkiej, jak Sienkiewicz — i że dlatego obrazy jej nie mają tego gorącego kolorytu, jakim rozporządza autor „Quo Vadis“.

Lecz jeżeli chodzi o umiejętność twórcy przelewania swoich wzruszeń bezpośrednio w duszę słuchacza, jeżeli pięknem można nazwać to, co jest szlachetnem, głębokiem i porywającym — to Orzeszkowa winna być uważaną za genialną artystkę.

A prócz tego jest ona niezawodnie i myślicielką głęboką, i człowiekiem, do dna duszy dobrym i kochającym, i kobietą, która potrafi dojrzeć to, co małe i nieszczęśliwe, słabe, a krzywdzone, podnieść z kałuży, ogrzać tehem gorącej piersi i w łzach smutku serdecznego obmyć z plam brudnych i odrażających...

Kobiety nasze powinny ją nie tylko czcić, jako swoją chwałę i swoją dumę — ale i kochać zarazem; tak, jak się kocha dobrą i rozumną przewodniczkę.

Leon Rygier.



Ferdynand Hoesick.

FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ.

(1829—1830).



(Ciąg dalszy).

Od przyjazdu swego do Warszawy obracał się Chopin w świecie tym bardzo wiele, a bywając na piątkach u Kesslera, nie opuszczał również i sobotnich wieczorów w Resursie. Pisząc dnia 24-go listopada do Wojciechowskiego, donosił mu między innemi: „Kessler wykonał w ostatnią sobotę w Resursie „Koncert E-dur“ Hummła; na przyszłą sobotę może ja grać będę. Grałbym twoje „Waryacje“¹⁾. Na razie jednak projekt ten grania w Resursie nie przyszedł do skutku... Po za tem, jeśli o muzykę chodzi, to była to chwila występów Serwaczyńskiego, który, po szeregu koncertów w październiku, teraz, w listopadzie, zainaugurował kilka koncertów muzyki kameralnej, grywając pierwsze skrzypce w kwartetach Haydna, Meysedera i innych, a koncerty te, w Salach Redutowych, cieszyły się nierównie większym powodzeniem, niż innych artystów, jak np. nieudany koncert pani Bourgeois-Schiroli, lub występ p. Copello, b. tenorzysty królewskich teatrów w Monachium. Swoją drogą był to artysta wybi-

¹⁾ To znaczy „Waryacje“ op. 2 Chopina, dedykowane Wojciechowskiemu.

tny, a gdy zaspiewał słynną aryę z „Otella“ Rossiniego, w teatrze zapanował entuzjazm. W liczbie tych, którym jego śpiew podobał się bardzo, był i Chopin. Jakoż nawet zapoznał się z nim osobiście...¹⁾.

Dnia 23-go listopada, z powodu świętej Cecylii, w kościele Franciszkanów, przy udziale 80-iu artystów i amatorów, wykonaną została wielka Msza Elsnera, a w tydzień później, jako w rocznicę śmierci Aleksandra I-go, liczną orkiestra, pod dyrekcją tegoż Elsnera, wykonała jego Mszę żałobną, napisaną na śmierć „Wskrzesiciela Polski.“ W tymże czasie, którego niedzieli, zebrał się cały warszawski świat muzyczny w kościele OO. Paulinów dla wysłuchania mszy wokalne księdza profesora Gieczyńskiego, „przyczem po raz pierwszy grano na nowych organach.“ W *Teatrze Narodowym*, gdzie największem powodzeniem cieszyły się zawsze opery Rossiniego, Webera i Boildieu, wznowiona 24-go października „Pałac Lucyfera“ Kurpińskiego. Z powodu tego wznowienia pisał nazajutrz „Kurier Warszawski“, że „ci lubownicy muzyki, którzy nie tylko samego Rossiniego uwielbiają, znaleźli w tej operze wiele miejsc sprawiedliwie zasługujących na pochwałę, a szczególnie śpiewy, połączone z chórami, uznali i teraz za należące do wzorowych kompozycji.“ Opera ta budziła wśród melomanów ogromne zainteresowanie, przez to głównie, że — jak pisał „Dziennik powszechny“ — „sławny Weber starał się zawsze być oryginalnym, tymczasem znając tę operę Kurpińskiego przed napisaniem swego „Freiszycy“, nie ustrzegł się małego wspomnienia i wziął z niej nawet z akompaniamentem całą jedną myśl, która się tu przez kilkanaście taktów odzywa.“ Do bardziej zajmujących wieczorów operowych w teatrze należał także i ten między innemi, na którym pani Schivoli spiewała z Polkowskim i chórami „w stosownych ubiorach“ — pojedyncze sceny z nieznanego wtedy w Warszawie „Semiramidy“ Rossiniego.

Największą jednak sensacją teatralną w tym czasie było wystawienie dnia 25-go listopada „nowej allegorycznej melodramy“ Rajmunda¹⁾ przerobionej z niemieckiego przez Damsego pod tytułem „Chłop milionowy“ czyli „Dziewczyna z świata czarownego.“ Sztuka ta zdobyła sobie na warszawskiej scenie taki sukces, że grano ją przez czas jakiś codziennie, i codzień przy wyprzedanym teatrze. Ku oburzeniu starych klasyków, mających najwyższe lekceważenie dla *bomb* tego rodzaju, wszystkie tragedye polskich i francuzkich Kornelów i Raszynów, poczynawszy od „Cyda“ i „Andromaki“, skończywszy na „Barbarze Radziwiłłównie“ i „Ludgardzie“, musiały zejść z afisza, na którym natomiast rozparł się zwycięzko, jak barbarzyńca w senatorskim krześle, „Chłop milionowy.“ „Jest to rzecz — pisał o nim sprawozdawca „Dziennika powszechnego“ — w guście owej komiczno-satyryczno-arlekinowskiej cudowności *romantycznej*, która zachwyca do najwyższego stopnia pewną klasę miłośników teatru za granicą... I w rzeczy samej czegoż nie dostaje tym dziwnym tworem do uspokojenia myśli widzów: mają sens moralny, mają dobrą *dozys* dowcipu, peł-

¹⁾ Zob. niżej.

no w nich odmian dekoracyi. Co chwila coś nowego: tu wróżki w napowietrznym pałacu, tam duchy, ówdzie czarnoksiężnik z strzelbą nabitą talizmanami, charaktery wesołe, oryginalne, rozbawiające, ubiory pstre, słowem wszystko, prócz... sensu w układzie sztuki. U nas duchy czasem za powoli się spuszczały; sowa wstrzymuje się w przelocie swoim przez scenę etc. Mimo to, dzięki świetnej grze Nowakowskiego, sztuka cieszyła się ogromnem powodzeniem.“

Szczególniej popularnemi stały się piosnki Miotlarza, które nawet pobudziły Nowakowskiego do wydawania specjalnego pisma humorystyczno-satyrycznego illustrowanego p. t. „Miotelki.“ „Melodya tych pieśni Miotlarza—pisał jeden z dzienników—jest tak przyjemna, a same pieśni tak trafnie do wad powszechnie w stolicy znanych są przystosowane, iż nawet na Franciszkańskiej ulicy rozlega się ich odgłos.“ Istotnie cała Warszawa śpiewała w tym czasie i jeszcze długo potem:

Cóż to za pani ta,
Co na łbie fioki ma.
Krok szumny, śmiały gest?
Wszak to kucharka jest!
Nie pójdziesz ty mi ztąd
Do kuchni zaraz w ką!
Dla takich wielkich dam
Miotelki mokre mam,
Miotły, miotelki!

Jak dalece te piosnki miotlarza z „Chłopa milionowego“ stały się popularnemi w Warszawie, o tem najwymowniej świadczy fakt, że Chopin, gdy go zaproszono, by grał w Resursie na wieczorze muzycznym w dniu 19-ym grudnia, nie zdecydował się grać swych „Waryacyi z Don Juana“, z którymi pierwotnie chciał się popisać przed publicznością warszawską, lecz wołał improwizować na temat melodyi „Miolelek.“ Po za tem akompaniował do śpiewu panu Copello, a zarówno wtedy, gdy siedział przy fortepianie w roli akompaniatora, jak i wówczas, gdy improwizował, wzbudził podziw ogólny.

Echem tego wrażenia, jakiego doznali słuchacze, były sprawozdania z tego wieczoru, pomieszczone w „Kuryerze Polskim“, oraz w „Kuryerze Warszawskim.“

„Kuryer Polski“ pomieścił zaraz nazajutrz, w n-rze 19-ym z dnia 20-go grudnia 1829-go roku następującą wzmiankę o tym interesującym wieczorze:

„Członkowie resursy kupieckiej «Stara» zwanej, przepełnili wczorajszy wieczór muzyczny w lokalu resursy bardzo przyjemnie. Rozpoczął go P. Bielawski koncertem z towarzyszeniem orkiestry; po nim śpiewał P. Copello z akompaniamentem Pana Chopin. Śpiewowi Pana Dorville, artysty teatru francuzkiego, akompaniował Pan Soliva, następnie zajął P. Bielawski słuchaczy, grając solo, a fantazyę Pana Chopin z rozmaitych znanych melodyi zakończyły wieczór.“

Równie pochlebnie dla Fryderyka brzmiała opinia „Kuryera Warszawskiego“, który

w n-rze 341-ym z dnia 21-go grudnia 1829-go roku, w ten sposób zdał sprawę z rzeczzonego koncertu:

„Młody wirtuoz IP. Szopę (Chopin), którego talent coraz bardziej uwielbiają lubownicy i znawcy muzyki, onegdaj w dawnej Resursie, wobec liczne zgromadzenia improwizował na fortepianie waryacje z ulubionej pieśni «Miotły» (z «Chłopa milionowego»). Tegoż samego wieczoru IP. Józef Bielawski, pierwszy skrzypek Teatru Narodowego, grał Kwintet Beethovena, p. Dorvil śpiewał znaną Aryę Sentinel, a IP. Kopello wielką Aryę Paëra z opery «Achilles». Ten wieczór muzyczny został uznany za nader przyjemny.“

W tymże „Kuryerze Warszawskim“, w N^o 343-im z dnia 23-go grudnia, pojawił się następujący, wielce pochlebny dla Chopina, a przez jakiegoś St. Fg. K. skreślony *Artykuł nadesłany*:

Artykuł nadesłany. «Wieczór dany w przeszłą sobotę w Resursie był jednym z najprzyjemniejszych w stolicy naszej. Do uświetnienia jego wiele przyłożył się talent P. Chopin (Szopę). Przyjmowany z zapalem Rodak nasz, nie dał się dotąd publicznie słyszeć w Ojczyźnie swojej. Skromność, chociaż najpiękniejszy przymiot talentu, z tej strony uważana jest mniej chlubną. Czyż talent P. Chopin nie jest własnością jego ojczyzny? Czy Polska nie potrafiłaby go docenić? Utwory Pana Chopin noszą bez zaprzeczenia piętno wielkiego geniuszu; między nowemi jego dziełami ma być Koncert z F-moll, godny iść w rzędzie z dziełami najpierwszych Europy muzyków. Spodziewamy się więc, że P. Chopin tyle razy od nas wzywany, nie zechce dłużej, z uszczerbkiem swojej i narodu sławy, przytłumiać w nas to mile przekonanie, że i Polska wielkie talenty wydatkuje.»

Artykuł ten, będący pierwszym głosem publicznym, wzywającym Chopina, by wystąpił z własnym koncertem, przedrukowała w n-rze 345-ym z dnia 26-go grudnia 1829-go roku, jako „Nadesłane“, „Gazeta Polska.“

To wystąpienie w Resursie, wystąpienie, równające się niepowszedniemu sukcesowi i tryumfowi artystycznemu, było w ciągu tego miesiąca najważniejszym faktem w życiu Fryderyka.

Dnia 6-go grudnia, jako w uroczysty dzień imienin Mikołaja Chopina, urządził Fryderyk, jak i poprzednich lat, koncert w kółku rodzinnem, sam oczywiście biorąc w nim główny udział. Zdaje się, iż na tym to koncercie był Eugeniusz Skrodzki, który go z czasem, jako Wielisław, tak w swych wspomnieniach o Chopinie opisał: „Pierwszy raz słyszałem, jako dzieciak, grę Chopina, na imieninach jego ojca. W saloniku profesora Mikołaja tłumno było i gwarno. Na pierwszym planie, w fotelach, z powagą, siedzieli główni znawcy, Elsner i Hofman, obaj profesorowie Konserwatorium. Koncert rodzinny rozpoczął się pod przewodnictwem Żywnego, który na uroczystość tak wielką zawiązał świeżą białą chustkę wokoło szyi i włożył niezatabaczoną jeszcze kamizelkę. Za danym znakiem batutą, zaimprowizowaną ze zwitka nut, odezwały się dźwięki muzyki zbiorowej, w której uczestniczyli: Molsdorf na wiolonczeli, Kaczkowski na skrzypcach (obaj artyści teatru), Ledoux, artysta-amator, naczelnik w Komisji Skarbu. Z kolei grał sam Fryderyk i jego siostry. Była to w poważnej muzyce epoka Beethovena, Haydna, Mozarta. Do stylu ich i sławy przyczepiali się Riesy, Gelinkowie, Steibelci. Mnie wówczas style muzyczne nie obchodziły; wołałem torty, wina i ciasta; pamiętam jednak sute oklaski dane Fryderykowi po odegraniu jakiejś sztuki. W oklaskach

tych rodziła się przyszła sława świata i chwala narodu. Pamiętam, że po odegraniu jakiegoś mazura czy oberka, może oryginalnej kompozycji lub improwizacji Fryderyka, Skarbek, wówczas już profesor Uniwersytetu, zerwał się z krzesła i czule imiennika swego wyściskał; Elsner winał takiego talentu, całe zgromadzenie, jakby jednym prądem porwane, i samego koncertanta, i jego rodziców słowami gorącego uznania obsypywało.“

W dziesięć dni później, 16-go grudnia, odbyło się w katedrze, z nadzwyczajną pompą i powagą, wobec tysięcznych tłumów, nabożeństwo żałobne za Woronicza, prymasa, zmarłego w Badenie pod Wiedniem. Ponieważ Woronicz był autorem patriotycznej „Świątyni Sybilli“, „Hymnu do Boga“ i całego szeregu podniosłych poezji w duchu narodowym, a jako kaznodzieja wsławił się swemi wspaniałemi przemówieniami na pogrzebach księcia Józefa i Kościuszki, więc gdy nadeszła wiadomość o jego śmierci, w Warszawie rzeczywiście zapanował nastrój żałobny, odczuł bowiem, że umarł jeden z największych mężów narodu. „Wszystkie poezje jego—pisał w dniu nabożeństwa Niemcewicz w „Kuryerze Polskim“—tehną ogniem najczystszej miłości ojczyzny; ojczyzna bowiem, jej pomysłność, jej słodkie wspomnienie, ustawnym były rozmyślań jego przedmiotem.“ Wcale nie jest rzeczą nieprawdopodobną, że pierwszy „Marsz żałobny“ Chopina, napisany w roku 1829-ym, powstał w tym czasie.

Cokolwiek bądź, gdy nadeszła wigilia, a Chopin łamał się opłatkami ze swoimi, nikt nie przeczuwał, że to są ostatnie święta Bożego Narodzenia, które spędzał w domu, w Warszawie, w kraju w ogóle, że już z rodzicami i siostrami nigdy nie zasiądzie do wigilijnego stołu, że wszystkie następne wile będzie spędzał na obczyźnie, w beznadziejnej tęsknocie za owym rajem utraconym, jakim dlań z czasem okazały się te lata pierwszej młodości...

(Ciąg dalszy nastąpi).



NASZ KWESTYONARYUSZ PANIENSKI.



XXIX.

Co myślą panny dzisiaj, a jak myślały dawniej.

„Bluszczy“ podjął ważne zadanie społeczne, odzywając się do serca i myśli pań. Oby jaknajwięcej odpowiedzi wyświetliło do czego młode pokolenie kobiece dąży i czego pragnie: na polu życia, sztuki, literatury i szczęścia własnego. Sądzę, że nie sprzeciwiam się duchowi kwestyonaryusza, porównyując ideały i cele poprzedniego pokolenia z potrzebami i pragnieniami obecnego. Jakież były za młodu matki naszych pań? Uczyły się dużo, zdawało im się, że są bardzo rozumne, a nawet mądre i doświadczone, hołdowały hasłom pozytywnym, powtarzając nie... pacierz za panią matką, lecz słowa swoich braci i znajomych Comtéistów, studiowały psychologię, anatomie, pożerały wiedzę, rozprawiając o niej głośno i z taką pewnością siebie, jak gdyby te nauki były wynalezione, jeśli już nie przez

¹⁾ Mieszkający wtedy w Warszawie Juliusz Słowacki pisał do Alexandry Becu: «Na warszawskim teatrze grają teraz raz po raz nowa, a dla nas (Wilnian) starą sztukę pod tytułem «Chłop milionowy», o której musiałas już cośkolwiek z gazet słyszeć. Piękność tej sztuki cała leży w dekoracyach, które prawdziwie są zachwycające; zresztą cała sztuka dość słaba i bez sensu. Chciałbym, żeby ją kiedy na teatrze wileńskim wystawiono, z waszą godną maszyneryą, dopiero by się ładnie wydała.»

nie, to przez tychże braci, znajomych i wielbicieli. Mówiło się dużo o wyzwoleniu kobiet z pod męzkiego jarzma, o pracy samodzielnej, a w głębi serca marzyło o jakimś tam Józiu lub Franiu, niekoniecznie nawet uczonym. Jasno- i czarno-włose pozytywistki były podszyte grubą warstwą romantyzmu, nie miały pojęcia o życiu, nie znały świata i ludzi, zaledwie uzyskawszy tę drogą wolność, używały jej głównie na to, aby sobie skrzydła osmalić. Na rodziców patrzyły z litośnym współczuciem, jako na drogich, ale trochę śmiesznych zacofańców. Stosunek ich do Boga był również... protekeyonalny.

Ta i owa, a może nawet wszystkie, modliły się między czterema ścianami pokoiku, ale nie „afiszowały się“ w kościele, w obawie szyderstwa znajomych Comtistów. Szukały pracy zawzięcie, nie tej cichej, owocnej, lecz głośniejszej, a często bezużytecznej, wyjeżdżały na uniwersytety — nie zawsze dla studiowania medycyny lub filozofii, często z potrzeby wrażeń, z dziecinnej próżności.

A jeśli pozostawały w domu, to „żądza pracy samodzielnej“ rzucała je najczęściej na cierpliwe pole pedagogiki, przygarniając powołanych i niepowołanych, uzdolnionych i niezdolnych oraczów. Choćby miały w domu kilkoro młodszych rodzeństwa, będącego pod ręcznym i najodpowiedniejszym dla nich materiałem pedagogicznym, uczyły dzieci obce, bo im się to wydawało pracą bardziej samodzielną; choćby miały w domu dostatek, szukały jakiegoś po za domowego zajęcia, nie zastanawiając się, że w ten sposób odbierają zarobek innym, prawdziwie potrzebującym. Nie chodziło im o pożyteczność pracy, lecz o pracę samą, o zaznaczenie swego prawa do niej, na równi z mężczyzną. Nie dziw, że przy takich poglądach pracę traktowały przeważnie, jak zabawę, widziały w niej coś przejściowego, środek, nie zaś cel sam w sobie. Cóż było tym celem prawdziwym? Powiedzmy szczerze, te pozytywistki, depreczające przemoc męską, w „głębokiej głębi“ serduszek nie gardziły jarzmem małżeńskim. Było to poczucie bezwiedne, dopóki nie uświadomił go jakiś Staś lub Janek; zamiast z dyplomem uniwersyteckim, wróciły nieraz z narzeczonym.

Łatwo zresztą uzasadnić taki rozdzźwięk pomiędzy słowem a czynem. Równouprawienie było jeszcze dla nich rzeczą nową, nie „żyły się“ z tem pojęciem, nie przyswoiły go sobie należycie, bawiły się raczej, niż nad niem zastanawiały; a z drugiej strony miłość i małżeństwo pociągały ich... atawistycznie — jakby się wyraziła nie jedna, w ogóle nie widziały czego chcą właściwie, bujność życia gnała ich to tu, to ówdzie. Wymachiwały wielkimi ideami, jak blaszaną szabelką, zdawało im się, że są trzeźwe, a w istocie duch romantyzmu kołatał się w nich i pokutował. W mężczyźnie widziały nie tylko współzawodnika, odmawiającego im prawa do człowieczeństwa, ale i trubadura, od którego żądały upojen i zachwytów. Po wyjściu za mąż stawały się czasem uległymi i potulnymi nad miarę, ale częściej, zwłaszcza w pierwszych latach pożycia, zatrzuwały mężom spokój swoimi niedowarzonemi poglądami.

Jakież są ich córki? O wiele rozsądniejsze i trzeźwiejsze. Ferment ustalił się, sprawność pojęć i czynów przeszła w równowagę, nowe panny wiedzą naprawdę, czego chcą i do czego zmierzają. Warunki ekonomiczne, coraz gorsze, nauczyły ich praktyczności, a istotna potrzeba pracy wskazuje im pola właściwe, na których nie są przechodniakami, oglądającymi się za rozrywką; uznawszy, że praca nie jest stanem przejściowym, ani szyldem, wywieszanym dla zwabienia oczu ludzkich, rozgospodarowały się w niej na dobre, jak we własnym domu; wówczas gdy ich matki były wśród pracy, jak na popasie, jak w numerze hotelowym, z którego wyjeżdża się w podróż poślubną.

Dzisiejsze panny nie zarzekają się głośno takiej podróży, ani marzą o niej po cichu. Na małżeństwo patrzą trzeźwo, matki tworzyły sobie o niem pojęcie z romansów, córki — z obserwacji życiowej, bo umieją głębiej wzrok zanurzać. Wiedzą, że czasy błędnych rycerzy już minęły, że nikt już nie nosi na sercu barw ukochanej, że mężczyźni idą spokojnie tam, gdzie ich powołuje obowiązek, idą nie w *almawiwach*, lecz w marynarkach i tużurkach, co im nie przeszkadza kochać serdecznie.

I bywają też kochani serdecznie i prawdziwie przez nasze panny, przez swoje przyszłe żony, dążące nie do tego, aby z małżeństwa uczynić jakiś poemat oderwany od życia, lecz aby powszedniość opromienić urokiem prawdziwego uczucia, nie bojącego się ani czerowania pończoch, ani przyprawiania sosów. Nasze panny nie mają złudzeń, żądają mniej od ludzi i życia, niż żądały ich matki i dlatego są szczęśliwe — nie wybuchowo, lecz spokojnie. Zasługa to może matek samych, które otrzeźwiawszy z oparów emancypacyjnego romantyzmu, wniknęły w siebie, dostrzegły wadliwości własnych poglądów i czynów i wychowały dzieci trzeźwiej, wskazując im obowiązki prawdziwe, nie urojone. Ztąd też i stosunek pomiędzy córkami a matkami jest lepszy i szczerzy, uzupełniają się one wzajem, życie stępiło ostre kany i przyemiło jaskrawość zapamiętywań poprzedniego pokolenia.

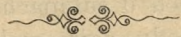
Emancypacja *à outrance* stała się potrzebą i dążeniem do pracy, jak w negatywie fotograficznej cień wydał światło.

Tak samo, jak dawni wyznawcy Comte'a przedzierzgnęli się w ludzi, uznających potęgę wiary obok potęgi rozumu, tak samo zwolenniczki tak zwanej emancypacji, po latach rozważki wyciągnęły z niej to, co jest zgodnem z potrzebą chwili, co odpowiada konieczności i wychowywały nie lalki salonowe, lecz kobiety, pragnące przysłużyć się społeczeństwu nie tylko frazesami, lecz czynem rozsądnym. Rzekome ateuszki nauczyły młode pokolenie kochać Boga, modlić się bez wstydu i bez obawy studentów, którzy zresztą sami chodzą teraz do kościoła i modlą się otwarcie. Na niektórych punktach przyszło zastanowienie; na drugich — reakcja. Zaznacza się ona nie tylko w dziedzinie religii, lecz i w kierunku wiedzy. O ile dawniej panny garnęły się do nauk ścisłych, o tyle teraz dążą do sztuki. Z pracowni malarskich i rzeźbiarskich co roku wychodzą panny, dążące do akademii i szkół zagranicznych, tak, jak dawniej dążyły na uniwersytety i pracują porządniej i wytrwalej, od swych matek. I muzyka przestała już być narzędziem salonowych popisów, jest sama sobie celem dla jej adeptek.

Gdziekolwiek spojrzymy, w sklepach, biurach, redakcyach — wszędzie kobieta pracuje coraz lepiej i spokojniej. Za to może bawi się z mniejszem zacięciem i ma mniejszy zapal życiowy. Młodość nie gra w dzisiejszych pannach, jak grała w ich matkach, nie chcą reformować społeczeństwa, nie „rwą się“ do jutra, nie oczekują po niem nic nadzwyczajnego. Są rozsądne — może za rozsądne. To także reakcja. Śmiesznem byłoby wypisywać tomy na temat, że dziś już panna po kilku karnawałach, ma dosyć zabawy i jeśli za mąż nie wyjdzie, rozgląda się za jakimś celem poważniejszym; ale szkoda, że coraz mniej jest wesołości i śmiechu, że coraz mniej ohoty do życia, instynktownej *joie de vivre*, która się cieszy i słońcem, i mgłą, i zielonością, i szronem, i która jest ciepła i słoneczna, jak poranek majowy i rozpiera serce szczęściem nieokreślonym. Mało kto dziś umie być szczęśliwym *bez wyraźnego powodu do szczęścia*, a nie raz i z takim powodem nie potrafi. „La desespérance de vivre“, tchnąca z kart literatury i sztuki zwarzyła tę zdolność, potargowała nerwy. Kobieta nowoczesna jest rozsądną, ale

smutną! Jakież jej cel w życiu? Rozglądając się dokoła, widzimy coraz mniej panien, żyjących beżmyślnie. Można by powiedzieć, że celem ogólnym jest zlepek dążeń osobistych jasno określonych: bądź do sławy, do gruntownej wiedzy, do zapewnienia sobie bytu pracą zawodową, do przysporzenia szczęścia swoim bliskim, do kochania czegoś lub kogoś, wreszcie bodaj do bogatego małżeństwa (bo i to się zdarza w wieku zmateryalizowanym); ale w każdym wypadku dana panna wie, czego chce i umie dążyć do celu systematycznie, z wyrzeczeniem się chwilowej przyjemności, w imię poważniejszych korzyści. I to jest może jej cechą najbardziej znamionną.

Szreniawa.



Sztuka i ubranie kobiece.



(Dokończenie).

Na manekinie układa się materye i przybrania, ale i tu nie decyduje wyłącznie krawiec ze swą pomocnicą, bo wówczas stworzyłoby dzieło indywidualne, a moda jest zjawiskiem nawskróś *kolektywnem*; bezwiednie lub zupełnie z przekonaniem idą oni w doborze tonów, w układzie form za tem, co obserwowali wszędzie tam, gdzie *wystawia się* niejako twory ich artysty: na premierach teatralnych, na wyścigach, w kościołach na wielkich ślubach.

I tak ujawnia się coraz bardziej charakter kolektywny mody, bo gdy sprzedająca panna przedstawi model kupującej go damie, należy znowu zastosować wszystkie odcienia, formy, do osoby tej, która model ten zainauguruje i wówczas osobiste zdanie i smak tej właśnie osoby znowu przynosi coś do zbiorowego stworzenia danego modelu.

Gdy dana osoba jest pełną smaku i inicjatywy, robi zmiany odważne, oryginalne, to znowu idzie za czemś, co już widziała, co się jej spodobało w sukni widzianej w jakimś salonie, i tak raz jeszcze utwierdza się kolektywny, zbiorowy charakter mody.

Wszelako pewne wybitne damy lub artystki potrafią tak zapanować nad opinią kobiecą w dziedzinie mody, że każda przez nich zapoczątkowana moda staje się ogólną.

Ponieważ księżna Walii, obecna królowa, chorowała na szyję, zaczęto nosić za jej przykładem owe ogromne *colliers de chiens*, a cesarzowa Eugenia, chcąc ukryć blizkie rozwiązanie, stworzyła modę krynolin.

Jakiś romans aktualny (np. Claudine Willy obecnie), przybycie żyrafy do Jardin des Plantes, wszystko to może wpłynąć na stworzenie jakiejś nowej mody.

Worth cytuję w jednym z ostatnich interviewów, jakie z nim miano, przykład Loie Fuller, tej znakomitej tancerki, dającej fantasmagoryczne skojarzenie barw mieniących, złudnych, tęczyowych. Ona to dała pohop do stosowania mieniących się materyi do sukien kobiecych.

Worth utrzymuje, że szkoła impresjonistyczna, barwne fontanny, mieniące się materye chińskie i japońskie, wpłynęły wraz z Loie Fuller na przyjęcie tych dwu lub trzypotonowych materyi, które fabrykanci zaczęli wyrabiać, pewni dobrego przyjęcia.

I kończy Worth takim filozoficznym aforyzmem, który niemal Spencerowskim się zdaje: „Moda jest niejako syntezą idei zrazu nieujętych, które dojrzaawszy, porządkują się (koordynują) pod wpływem licznych wrażeń jednogatunkowych i jednego pochodzenia, a które po większej części zostają nieznane.“

Kiedy Worth takie filozoficzne pisze aforyzmy, dlaczegobyśmy nie mieli, zawsze w duchu Spencera podać:

Pierwszych zasad toalety kobiecej.

W tej dziedzinie mało jest jednak prac teoretycznych. Estetycy napomykają tylko w swych dziełach o sukniach i ubiorze, a artyści rzadko kiedy zajmowali się tą kwestyą literacko; Charles Blanc, Ary Renan i koniec.

Wszelako w r. 1829-ym w pismach mód, drukowanych pod redakcją Emila de Girardin, znajdujemy ciekawe uwagi anonimowego autora, o którym redakcja zrobiła notatkę, że jest „uczonym artystą.“

Autor, przypomniawszy na wstępie Grecję, gdzie piękny kostium uważano za dzieło „sztuki pięknej“, narzeka na brak gustu, na pomieszanie dzikie tonacji barw i rozpoczyna swój ciekawy wykład od zaznaczenia, że ubiór wolny, który opina część ciała, a lekko owiewa resztę, jest w ogóle piękniejszy od obcisłej sukni.

Drugą zasadą jest, że jak piramida odwrócona szerokim końcem do góry, ma wszystkie pozory lekkości, tak i kostium w ten sposób zbudowany daje pozory smukłości i lekkości.

Dalej zwraca autor uwagę na pewne szczególności toalety w stosunku do budowy osób, które je noszą. Osoby z długimi szyjami powinny nosić kapelusze nisko opadające, a suknie wysoko pod szyję, przeciwnie osoby o krótkiej szyi niechaj noszą podniesione kapelusze i mało ubrane staniki. Kobiety szerokie w ramionach powinny mieć dobrze wypełnione naramienniki, przód zaś staników oraz plecy powinny być w poprzeczne fałdki, idące od ramienia do środkowej linii biustu. Kobiety niskie powinny nosić jak najdłuższe suknie, ubrane bardzo nisko od dołu.

A teraz barwy.

Wszystkie barwy ubrania powinny mieć zestrój harmonijny, ale zawsze jedna musi być dominującą, a reszta podporządkowana tej głównej barwie.

Co zaś do tej głównej barwy, to cera osoby ubierającej się powinna być wskazówką.

Praktycznym bardzo jest diagram kolorów podstawowych: kolor żółty, czerwony i niebieski są barwami podstawowymi, pomarańczowy, zielony i purpurowy powstały z ich kombinacji. Ponieważ barwy te są dopełniające i wprost przeciwnie, przeto należy badać je, gdy chodzi o kompozycję sukni.

Jeżeli cera danej osoby zawiera zbyt dużo żółtej barwy, należy włożyć wstążkę żółtą, aby wydobyć ton czerwony i niebieski twarzy. Jeżeli czerwony kolor przeważa, czerwony ton w koło twarzy podnosi ton żółty i niebieski.

Zawsze w toalecie starać się też należy o używanie barw łagodzących ton główny, dając je jako przybranie sukni.

Kolor biały jest do twarzy osobom o cie-

mnej cerze, czarny zaś i biały są jednak zarówno dobre dla osób bladych.

Materyały przeźroczyste są dobre dla osób szczupłych, twarde i szorstkie dla osób tęgich.

Ze wszystkich tych rad i uwag zdaje mi się jednak, że najlepszą i najtrafniejszą jest rada starego Owidyusza, który powiedział: „Spytajcie lustra waszego, co odpowiada rysem waszym, bo nie można wyznaczać reguł dla kostiumu tylko z głowy.“

Moda idealna.

Redakcja jednego z wielkich dzienników paryskich urządziła ankietę w celu dowiedzenia się: jakie jest zdanie przeróżnych malarzy i pisarzy, co do najidealniejszej według nich mody kobiecej.

Pośród dość licznych odpowiedzi do ciekawszych należy list hrabiego Roberta de Montesquiou, znanego poety i „estety“ dekadencjkiego; trochę w filipice ostrej, pisanej wymuszonym stylem, wytacza hrabia de Montesquiou proces dzisiejszym kapelusom, przyrównując je do tortów, ciastek, robiąc złośliwą uwagę, że hrabina Potocka na „Crepuscule des Dieux“ Wagnera miała na głowie tort z glicynii.

Utrzymuje on dalej, że jeżeli praktyczność słusznie wymaga zdjęcia kapelusza w teatrze, nie jest to jednak ani „odpowiednie, ani ładne.“ Wszelako próba, jaką powzięła hrabina de Greffulhe, wkładając na głowę rodzaj korony, jest również nie ładna i nie dla wszystkich dostępna. Nie rzadszego dzisiaj, nad ładny kapelusz.

Co do sukien współczesnych, zarzuca im hrabia monotonię i jednostajność, oraz zbyt używanie odcieni crême; kończy zaś swój list apologią, więcej niż entuzjastyczną, pani Handish z domu des Cars, będącej zdaniem jego największą elegantką świata.

Malarz Hawkins utrzymuje, że kobiety młode i piękne powinny zarzucić gorsety i wszelkie więzy i nosić zawsze wolne, powłóczyste kostiumy.

Dla Frantz-Jourdain'a ideałem jest kostium grecki, a zarazem taka toaleta, która służy za piękne ramy do podniesienia piękności danej osoby.

Grasset nie znajduje dość zgryźliwości i wymysłów na tak zwany „costume tailleur“, który nazywa małpowaniem ubrania męskiego, brzydką, najbrzydszą z mód, dążącą do zniknięcia całego wdzięku kobiecego, wyrosłą z wstrętnego purytanizmu pełnego hypokryzji.

Dla Greggha ideałem jest suknia spowijająca kształty, nie zakrywając ich całkowicie.

Louise Breslau utrzymuje, że ta moda jest dobrą, która jest umiejętnie i odpowiednio noszoną.

Pani Marya Szeliga żąda, aby piękno i harmonia linii ciała kobiecego nie były wynaturzone przez modne kaprysy. Rodaczka nasza uważa, że suknia powinna być zawsze stosowaną do osoby. Moda obecna jest wstrętną, najpraktyczniejszą zaś suknią na ulicę jest spódnica do kostek i wysokie buciki.

Znany malarz Rafaelli utrzymuje, że piękno w toalecie to chwilowa moda, która jest zawsze antytezą poprzedniej mody. Wielką nowością wieku jest udawanie męskich ubrań,

tak, że ideałem kobiety dzisiejszej wydaje się być podobną do „stangreta z dobrego domu.“

Wreszcie notuje Rafaelli słuszną uwagę, że zawsze mody dawniejsze wydają się nam bezgustownymi i brzydkimi.

A de la Gandara ufa smakowi kobiet, utrzymując, że prawdziwie dobrze ubierająca się kobieta nagina modę do siebie.

Marius-Ary Leblond utrzymuje, że boa jest wstrętnym wynalazkiem, psującym linię płeców i piersi i przypominającym chomonta oraz wieńce pośmiertne. Gorset jest brzydki zawsze, ściskanie się złem i nieestetycznym, bo naprowadza na myśl, że dana osoba złamie się za najłżejszym potrąceniem.

Oktawiusz Uzanne dowodzi, że kobieta dzisiejsza powinna nosić kostium prawie męski, krótki, swobodny, suknię krótką i rodzaj stanika wolnego. Zresztą suknie dzisiejsze stworzyły ruch w najwyższym stopniu nieestetyczny unoszenia sukni z tyłu; ale, że wszystko przechodzi, więc można mieć nadzieję, że i ta moda przeminie.

Z historyi toalety kobiecej w XIX-ym wieku.

Dam krótki tylko przegląd, rzut oka na tę długą kohortę barwnych kostiumów, które znikły oddawna, od czasu do czasu częściowo wskrzeszane w krajach współczesnych, a z których jedne ośmieszono, drugie piękne były.

Na początku dziewiętnastego wieku modę dyktował wiek ośmnasty. Z Rewolucją przyszła rewolucja mody: po pudrowanych perukach i sukniach à paniers, przyszły Termidorianki o włosach nie upiętych, ubrane wolno w suknie Dyrektoryatu.

Pani Tallien stwarza tunikę i suknię grecką, pani de Staël inauguruje turban à la Corinne, a pani Récamier wymyśla szal, ów lekki, przeźroczy szal, tak przez romantyków lubiany. Potem przychodzą „młode romantyczki“ w papilotach i lokach angielskich, gryzетки Alfreda de Musset i Johannota. Potem zapanowuje styl angielski młodych dam dworu Ludwika-Filipa, wzorując się na kostiumach młodej królowej Wiktorii. Potem z cesarzową Eugenią przychodzi mieszanina mód hiszpańskich: małego kapelusika andaluzyjskiego, mantylli i spódnic o wielu falbanach.

Są damy, które naśladowały ciemny stanik aksamitny à la Georges Sand, inne pelplum Rachel, potem cesarzowa Eugenia, księżna Metternich, wszystkie te panie dawały modę, którą wszelako historycy sprowadzają do czterech typów w okresie XIX-go wieku. Naturalnie odszukano tu indywidualne kreacje, wyszukując jedynie typy wybitne i ich ewolucję następującą.

Jest to naprzód suknia *Empire*, której cechą wybitną jest nadmierne skrócenie stanu, który znajduje się zaraz pod piersiami.

Potem po *Restauracji* ukazują się rękaw *a gigot*, potem pod panowaniem cesarzowej Eugonii pojawia się krynolina, charakteryzująca wstęp do wojny francusko-niemieckiej.

Po r. 1870-ym panuje *tiurniura*, po której przychodzi suknia *tailleur*, suknia przylegająca, formy *princesse*.

Wysoki stan narodził się w czasie okresu rewolucyjnego, w chwili, gdy pani Tallien zbierała oklaski na balach Frascati w kosty-

mie Greczynki, rozwija się podczas Konsultu i Cesarstwa, według wzorów, szkicowanych przez malarza David'a.

Rozprzestrzenia się potem suknia *sac*, podwiązana pod pachami wstążką. Jest to epoka zbytku, wzorującego się na czasach rzymskich. Noszono wówczas dużo białych sukien, ubranych różowemi wstążkami i girlandami z kwiatów u dołu. Na ramionach stanik spinano lekko, wiążąc go wstążkami różowemi. Ręce gołe przykrywano przejrzystymi rękawiczkami, na szyi lśniły perły, a na włosach kładziono wianuszki z róż. Suknia była krótka i pozwalała widzieć nogi obute w białe jedwab. Na ulicy noszono suknie dłuższe i szal, ów kaszmir indyjski, tak poetyczny, który przyniosły z sobą armie Napoleona po powrocie z Egiptu.

W r. 1811-ym powrót emigracji francuskiej przeobraża modę. Już w zimie 1809—1810 ukazuje się gorset, za nim suknie białe, białe pióra, a u dołu spódnice białe lilie. Potem zaczynają się fantastyczne rękawy, noszone à la folle, à l'imbécile i à l'éléphant.

W r. 1820-ym przybywa rękaw à gigot. Rękawy w tej epoce były tak wielkie, tak ogromne, że żeby je utrzymać, umieszczano w środku rodzaj małych baloników albo podtrzymywano je na fiszbinach. Reszta ubrania obfitowała w lekkie dodatki: gazy, blondyny, wstążki, torsady, pióra i t. d.

Od r. 1836—1854 jest okres przejściowy. Noszą suknie pod szyją dekolowane, z pełrynami i bez. Przychodzi wtedy okres *bert* koronkowych, staników à la Pompadour, à la Niobé, sylwestriny, wynalezione w roku 1839, materiał robiony z drzewa, klejony, jak pudelka.

W r. 1850-ym suknie przybierają się setne *volants*, z których każdy starannie jest przybierany, dziergany i haftowany.

Rok 1854-ty przynosi kryolinę; dla podtrzymania tych nadmiernie bufiastych sukien, niektóre damy nosiły spodnie spódniczki w formie obręczy, naśladowujących ule. Z kryoliną nastaje też moda fachu Marie-Antoinette; a najmodniejsze są suknie różowe, ubrane koronkami, kwiatami,— na głowie kwiaty.

Potem zjawia się *tiurniura*, podczas której to mody panie wydają się przybranemi po tapicersku pufami, czy posągami dekorowanymi festonami z tyłu, oblepiającymi figurę z przodu.

Nakoniec dzisiaj zapanowała moda sukien t. zw. angielskich, *forme tailleur*, a co mody przyszłe pokażą — dopiero zobaczymy.

S.



Z listów do „Bluszczu.”



Mediolan.

Za granicą uczymy się bardziej cenić i szanować kraj własny. Zkądinąd cisną się porównania na niekorzyść zagranicy, przypominają się dobroduszość i gościnność nasza, szczególne względy i opieka, jaką dajemy

cudzoziemców, gdy z nami wręcz przeciwnie dzieje się u nich.

Tem większy zawód dla tych, którzy do Włoch na studia jadą, do tej uprzywilejowanej krainy Migniony, gdzie przecudne krajobrazy malowniczej natury, wprost obowiązują człowieka być dobrym i szlachetnym.

Jedziemy z różową na oczach opaską, z pełną wiary i nadziei duszą, aby z tem czarniejszym rozczerowaniem powracać. „Les extrêmes se touchent!”

Nigdy może lepiej ten aforyzm zastosowanym nie był, jak względem włoskiego ludu, zmateryalizowanego aż do deprawacyi. Wielka historia najstarszego i największego teatru włoskiego „Scala” w Medyolanie sprawia, iż po dziś dzień ciągną doń tłumy ze wszystkich stron świata, sądząc, że jest jeszcze siedliskiem sztuki, artyzmu i kunsztu śpiewaczego. Tak było najprawdopodobniej dawniej, teraz pozostała tylko... tradycja.

Daleko artystyczniejsze są inne miasta, jak Rzym, Neapol, Florencia, nawet Bolonia, którą Włosi „uczona” nazywają. Tymczasem pojęcie o muzykalności Mediolanu, jest najzupełniej fałszywe. Jest to najbogatsze miasto Lombardyi, *par excellence* handlowe, nie mające zgoła nic wspólnego z prawdziwą sztuką, przeciwnie robi z niej frymarkę i handel, dlatego artyści, śpiewacy w karierze będący, bezwarunkowo mieszkać muszą w Medyolanie, jako w wyłącznym środowisku agencji teatralnych, impresaryów, słowem, w giełdzie śpiewaczej, że tak powiem.

O muzykalności Mediolanu świadczyć może ilość koncertów muzyki zbiorowej, odbywających się dwa razy do roku w sali Konserwatorium Verdiego, w braku specjalnej sali koncertowej.

Przez niespełna półtora roku słyszeliśmy w Medyolanie Kubelika, Raula Pugno, kwartet czeski i... jedną śpiewaczkę estradową, słynną Goldschmidt, c'est tout!

Trochę za mało ruchu koncertowego dla miasta liczącego przeszło 400,000 ludności.

O ileż wyżej pod względem muzyczno-koncertowym stoi nasza Warszawa, w której rok rocznie przewija się falanga sławnych śpiewaków, muzyków, skrzypków i t. zw. „gwiazd” wokalnych; wystarczy nadmienić Towarzystwo muzyczne, a cóż dopiero wspaniała, europejską Filharmonię!...

Kwitnie tam za to muzyka operowa. Włosi żyją operą, niema prawie jednostki, nie znającej na pamięć oper Rossini'ego, Donizetti'ego, Bellini'ego, a już o Verdi'm nie ma co wspominać. Verdi to bożyszcze Włochów, dla których natchnione melodie zgasłego mistrza są „musica paradisiaca” (rąską muzyką). „La Scala” wskrzesiła w sezonie ubiegłym starego, banalnego „Trubadura” w pięknej, nowej inscenizacyi, co prawda, i z pierwszorzędnymi śpiewakami, trzeba było widzieć, jak zwartą masą tłoczyli się do kassy, jak tam się o bilety dobijano! Operę dawano 14 razy z rzędu, przy wyprzedanym teatrze; otomiarą uwielbienia i kultu dla Verdi'ego. Dźwigał on przez kilkadziesiąt lat na olbrzymich barkach muzykalne Włochy, lecz ich nie osierocił zupełnie swą śmiercią. Oto szeregi wielkich, współczesnych kompozytorów, którzy ostatniego słowa swego o sztuce prze-

cięż nie wypowiedzieli: Mascagni, Puccini, Leoncavallo, ojciec Perosi (który da się poznać w Filharmonii), baron Franchetti, oraz uczeń jego Giordano, twórca pięknej opery „Andrea Chénier.”

Największym obecnie kompozytorem jest Alberto Franchetti, twórca oper: „Asraël,” którego w przyszłym roku wystawi „La Scala,” „Christoforo Colombo,” oraz pięknej „Germania,” która w zeszłym sezonie odniosła olbrzymi sukces w „Scali,” a obecnie obiega wszystkie sceny europejskie.

Z powodu premiery „Germanii” pewien poważny krytyk medyolański zacytował słowa, jakie Verdi o genialnym muzyku kiedyś powiedział: „Ecco l'unico maestro, che sa scrivere la bella musica,” — oto jest mistrz, który piękną muzykę umie pisać.

Muzykę Franchetti'ego cechuje bogactwo melodyi, na tle czysto włoskiego *bel canto*, z podkładem mozaikowo-barwnej orkiestry, traktowanej według wymagań modernizmu.

Kierunek w muzyce przeważnie werystyczny, moderne, tak samo, jak malarstwo, które wciąż trzyma się symbolizmu i secesyi. Wspomnieć należy o młodym muzyku Giacomo Orefice, twórcy 4 aktowej opery „Chopin,” którą nasz teatr i teatr lwowski ma wystawić, oraz „Adryanny Lecouvreur” przeznaczonej dla „Teatru lirycznego w Medyolanie” z Gemmą Bellincioni w tytułowej roli.

Włosi mają ogromnie szerokie pojęcie o bogactwie polaków i w ogóle kraju naszego. Jest ono tak trafne i uzasadnione, jak niem jest nasze o ich kunszcie śpiewaczym. Organizacja pedagogiczna w Medyolanie stoi na b. niskim poziomie, nie znaczy to jednak, że nie posiada dobrych mistrzów, owszem jest ich nawet sporo np. Blasco, kawaler orderów, Moretti Józef, Guagni, Coronaro, Dal Fiume, Guetta w innych, lecz zdaniem mojem, najlepszym „profesorem” jest ten, który poznał charakter i naturę głosu ucznia, a ten, że pojął metodę swojego kierownika.

Plagą medyolańską, dla nas zwłaszcza, są t. zw. *affita camera* czyli wynajmowaczka pokoi, jak osa natrętna ze swojemi poglądami na sztukę (sic!) śpiew, i profesorów. Każda taka pani ma swojego, uprzywilejowanego maestra śpiewu, „celebrità,” od którego niekiedy stała ma tanyemę, i dlatego naiwnemu cudzoziemcowi natrętnie go rekomenduje; ponieważ są to osoby przeważnie z gminu, nie mające żadnego wykształcenia, ani inteligencji przeto łatwo pojąć, ilu biednych cudzoziemców ofiarą ich pada.

W Medyolanie jest proporcjonalnie więcej nauczycieli śpiewu, aniżeli domów; tam wszyscy uczą, trębacz, dyrektor chórów, kapelmistrz opery, ex-śpiewak i chórzysta; nie dziwnego zatem, że w poszukiwaniu dobrego maestra, często aspirant z pięknym nawet materiałem ginie, tracąc pieniądze, czas, głos i karierę całą. Marzyłam ciągle o zorganizowaniu kółka polskiego, któreby dawało pewną rękojmnię i opiekę polakom na obczyźnie.

Ile przykrości, najrozmaitszej natury, a także... lirów, zaoszczędziłoby takie stowarzyszenie, opowiedzieć potrafi tylko tem, co poznał takie arcyniemile stosunki medyolańskie,

Stale w Medyolanie przebywa kilkuset polaków, a nikt dotąd podobnej inicjatywy nie

podjął; ręczę za dobry skutek, jeśli się weźmie do dzieła energicznie; znalazłyby się osoby, które poparcia udziela, co i może od współpomocy materyjalnej się nie uchyla, *chi lo sa?*

Nasza *l'improductivité slave* powinna już istnieć tylko w księdze przysłów, tymczasem spotykamy się z nią ciągle zagranicą. Wina leży w opieszałości naszej, w braku zabiegliwości i energii polaków, przebywających stale we Włoszech.

W Paryżu istnieją trzy stowarzyszenia polskie: „Spójnia“, „Koło młodzieży polskiej“, i „Koło artystyczno-literackie; w Berlinie jest ich bardzo wiele, tylko we Włoszech nie stać nas na solidarność, — czemu? Wartoby przecież o doli polaków pomyśleć już to ze względu na ich stan finansowy, czy moralny. Zostawiamy za granicą pieniądze z bólem serca, ale niczem są te straty wobec tysiąca drobnych nieprzyjemności, jakie nas na każdym spotykają kroku w Medyolanie; dość przytoczyć fakt z pewnym maestrem u którego, na drzwiach wisi napis: 150 fr. miesięcznie za lekye, *forestieri* czyli cudzoziemcy płać 180 fr. Czy to uczciwie i racjonalnie? Przecież bogactwo wielu stanowią właśnie obcokrajowcy, z tych większość na Polaków, rossyan i amerykańców przypada. Francuzi, mając mnóstwo świetnych wzorów, we własnym kształcą się kraju, a Niemcy, ich sam Pan Bóg spiewać nie nauczy!

Obok dużych, przykrych cieni są tam i ładne bardzo światła, uosabiają je ludzie nauki przeważnie, o dobrem wychowaniu i sercu, a na czele prassy stojący. Na palcach zliczyć ich można, lecz przynajmniej kompensują tę nieukształconą gromadę, którą tworzą Medyolanczycy.

Do najsympatyczniejszych i najdzielniejszych ludzi należy, powszechnie ceniony i lubiany, młody prawnik, p. Franco Fano, redaktor „Mondo artistico“ jednego z najpoważniejszych organów włoskich, traktujący obszernie sztuki piękne i literaturę, dalej p. Carlo l'Ornoville, redaktor „Gazzety dei teatri“ oraz literat zdolny, p. Achile Tedeschi, redaktor „Corriere illustrato“, tygodnika ilustrowanego, p. Pasquale de Lucca, znany powieściopisarz, redaktor dwutygodnika: „Natura col arte“, wreszcie „Italia femminile“, tygodnik poświęcony sprawom i pracy kobiet, redagowany przez 2 wybitne literatki z Adą Negri na czele. Wśród powieściopisarzy i poetów włoskich najznakomitsi są: błyskotliwy d'Anunzio, poetyczny Foggazaro, Carducci, Bracco, Praga, Giacosa, Rovetta, Butti a wśród niewiast najprzedniejsze miejsce zajmuje Matylda Serao i smutna Ada Negri. Ogromną sensację wywołała ostatnia powieść Serao: „Fior di passione“ („Kwiat namiętności“).

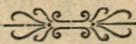
Wszyscy ci przedstawiciele prassy nierzadko przyczyniają się do spopularyzowania naszej literatury; im to zawdzięczyć należy, że włosi znają Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza, Meyeta, Orzeszkową, Grot-Bęczkowską i in.

W końcu une petite parenthèse.

Uniwersytet ludowy w Medyolanie uprosił mię do wygłoszenia odczytu o zasługach polskich autorkach. Byłoby bardzo pożądanem, aby młode siły literackie zechciały mi

udzielić o sobie pewnych szczegółów biograficznych.

Felicja Szretterówna (Ofelia).



Kronika działalności kobiecej.



— Zwiedzaliśmy w tych dniach cechową szkołę kroju, przeniesioną niedawno do ładnego, jasnego lokalu w Alejach Jerozolimskich pod n-rem 49. Przełożoną zakładu jest młoda osoba (wnuczka znanego powszechnie pedagoga, s. p. dyrektora Jana Papłńskiego), panna S. Roszkowska, wykształcona nie tylko w swoim fachu, ale posiadająca wszystkie cechowe egzamina i trzyletnią praktykę, i pełna zapału do pracy, której się poświęca.

Kurs jest dwójaki t. j. specjalny dla uczennic zdających egzamin do cechu, i ogólny dla pań i panien, chcących się obznajomić z krawiectwem. Oba kursy prowadzi sama przełożona, która też chętnie przyjmuje do domu panienki ze wsi, dając im wygodne pomieszczenie. Każdy może na miejscu zasięgnąć informacji o metodzie nauki i szczegółach, które tu zawieleby nam zajęły miejsca. Chcielibyśmy tylko zaznaczyć, że podobna szkoła, umiejętnie prowadzona przez osobę intelligentną a z dobrego towarzystwa, może zapłacić dotkliwy brak w tym kierunku, uczuwać się dającą w mieście naszym. *M. S.*

— Na posiedzeniu wydziału wychowawczego Towarzystwa higienicznego, p. hr. Zyberg Platerówna odczytała nader zajmujący referat, dotyczący się nauki gospodarstwa domowego i konieczności zaprowadzania różnego rodzaju zakładów, ku temu celowi służących.

Prelegentka, w bardzo wyczerpującym odczycie, mówiła o zakładach podobnych, czynnych w obcych krajach. A więc o zakładach w Pradze Czeskiej i o zakładach w Skandynawii; o rozmaitych systemach, przyjętych w instytucjach dla dziewcząt z ludu, pragnących nauczyć się gospodarstwa racjonalnego. Jako wzorową przedstawiła prelegentka szkołę kucharską w Kiel. W Sztokholmie i w Kopenhadze, przy wyższych zakładach naukowych istnieją kursy gospodarstwa domowego dla panien ze stanu zamożnego. Wyższą szkołę gospodarstwa założono też we Fryburgu w Szwajcarii i w Rydze.

Dalej prelegentka wspominała o prywatnych szkołach kucharskich dla ubogich i zamożnych w Sztokholmie i Helsingforsie i przeszła do innego rodzaju szkół gospodarczych i kucharskich z internatami, założonych w Poznaniu, w Moguncyi (*pension de dames*), i w Berlinie.

Rozumie się, że głównym celem i treścią odczytu było pragnienie zastosowania do naszych warunków najlepszych zakładów naukowo-gospodarczych i utworzenia u nas także kursów gospodarstwa, dostępnych dla dziewcząt niezamożnych.

— W dniu 30-ym z. m. zmarła w Poznaniu, Miss Mary Williams, angielska, znana dobrze i w naszym filantropijnym świecie. Jej to zawdzięcza swe powstanie, ochrona bezpieczna, rodzaj domu rodzinnego, pod wezwaniem S-tej Jadwigi, w którym bezdomne pracownice znaleźć mogły tanie pomieszkowanie i pewną opiekę. Przed 12-tu laty miss Williams stworzyła pierwszy taki dom w Krakowie. Potrafiła ona zagrzać dla swej zacnej myśli całe grono możnych osób. Andrzejowie hr. Potoccy, rodzina Mańkowskich i Marcelina ks. Czartoryska, nie żalowali materyjalnego i moralnego poparcia. Krakowski dom S-tej Jadwigi rozwinął się nadspodziewanie pomyślnie, co nowym bodźcem było dla zacnej miss Williams i wtedy to przystanie podobne założyła w Poznaniu i Warszawie.

Nie wątpimy, że osoby, zajmujące się zakładami św. Jadwigi, znajdą odpowiedni sposób ku uczczeniu i utrwaleniu pamięci cichej, a tak szlachetnej filantropki. Pomnijmy, że setki dziewcząt polskich jej zawdzięczają kierunek uczciwy i opiekę.

— Pani Hoopen z Nowego-Yorku przez swe wynalazki, znane dziś w przemysłowym świecie Europy, zdobyła sławę i majątek. Już w 14-ym roku swego życia wymyśliła maszynę, służącą do fabrykacji kapeluszy, którą dziś posiłkują się wszystkie fabryki w Ameryce. Nadzwyczaj energiczna i przedsiębiorcza, podróżuje sama, aby rozpowszechnić swoje ulepszenia i wynalazki. Czytamy w paryskiej „Fronde“, że ostatni, parotygodniowy pobyt w Londynie przyniósł jej 50,000 fr.

— Związek zajętych w przemyśle kobiet w Bostonie, ogłosił konkurs na książkę, wskazującą najpraktyczniejszy sposób zaprowadzania oszczędności przez kobiety zajęte pracą, oraz na sposób prowadzenia gospodarstwa najoszczędniej i najracjonalniej. Nagroda za najlepsze dzieło wynosi 200 dolarów. Do konkursu stawać mogą wyłącznie kobiety. Bliższych objaśnień udziela: „Home Economic Committee“ 264 Bolstynstreet w Bostonie.

— Przewodniczącą związku holenderskich sióstr miłosierdzia i dozorecznych, siostra Marya Greeve, została członkiem komisji, jaką rada miejska Amsterdamu zwołała w celu zbudowania nowego przytułku dla dzieci i domu dla rekonwalescentów.

— Młoda Japonka, dr. Una Yanagisawa ukończyła chlubnie wydział medyczny w Uniwersytecie w San Francisco i doktoryzowała się tamże. Doktor Yanagisawa zamierza przez lat kilka pracować w klinikach amerykańskich a zdobywszy dostateczną praktykę, przenieść się do swej ojczyzny. Nie jest to pierwszy przykład, by Japonka kończyła uniwersytet amerykański lub europejski.

Z. S.



Nasz ul.



„Na sto małżeństw, tak zwanych szczęśliwych — pisze p. C. Walewska w artykule „Sama...“ w № 45-ym „Tygodnika ilustrowanego“, — nie wiem, czy się znajdzie jedno, gdzieby harmonia uczuć, potrzeb, zapatrywań była osią wspólnego pożytku...“

Po pierwszych zazwyczaj upojeniach następuje rozdźwięk, zaczynają się ze strony młodej żony żale, która nie może sobie nawet wyobrazić, by słodki duet we dwoje mógł zostać naruszony, by mąż mógł pamiętać, że po za nią świat jakiś istnieje.

Pierwsze wyłamanie się męża z tych zasad, budzi skrytą na dzień jej serca gorycz i niepewność. Wytwarza to zazdrość, następstwem czego są sceny domowe, utrata spokoju. Próżno się sili żona wszelkimi sposobami utrzymać męża w domu, gdy go coś ciągnie w świat, do gwaru, do towarzystwa kolegów.

Wychodząc za mąż, kobieta winna wiedzieć o tem, że ona i mężczyzna, to dwa światy odrębnych pojęć, potrzeb, temperamentów, usposobień, dwa obozy, które łączy konieczność, rozdziela ocena różnie i przesądów.

Usunie może choć w części to zło koedukacja, która przez wspólne wychowanie zmniejszy zapory, rozdziałające dwie płcie, zrówna mniej więcej potrzeby, znieśnie odrębność; małżeństwo, oparte na tych podstawach, pozbawione wszelkich rozczerowań, będzie z pewnością znacznie trwalsze, niż obecne.

Dziś pociąga mężczyznę w kobiecie jej słabość, bierność, niezaradność, gdy mu się one jednak sprzykają, otrząsa je z siebie gwałtownie, nie bacząc na ból sprawiony i następstwa.

Celem uniknięcia tego należałoby, nim prawo o koedukacji w czyn wprowadzonym zostanie, zreformować teraźniejsze wychowanie kobiet. Niech dziewczynka od małego dziecka przyzwyczai się nie być wyręczaną przez inne osoby, niech sobie umie we wszystkim radzić sama, bez pomocy licznych opiekunów. Panny dorosłe niech również

nauca się obywać bez stróżów i opiekunów, niech stykają się z interesami praktycznymi, które teraz są dla nich niedostępnymi.

Matki winny wpajać w córki zasadę, że same o sobie myśleć muszą, same w sobie szukać szczęścia; w mężu zaś widzieć towarzysza i przyjaciela, lecz nigdy dęba i niewolnika; gdy zaś nie przyjdzie, pracować na chleb bez żalu i gorczy, mając zawsze na celu dobro społeczeństwa.

Niech córki nasze od małego uczą się współczuć potrzebom maluczkich, niech szyją dla ubogich odzież, niech się opiekują rówieśniczką ubogą. Zrozumia one wtedy warunki społeczne, zrozumią dolę ubogich — staną się kobietami.

Niezależnie od hartowania duszy, należy hartować i ciało. Silna fizycznie, w razie nieszczęścia nie straci gruntu pod nogami, będzie umiała się oprzeć burzom życiowym.

Kobieta dzisiejsza rwie się do świata, pragnie bywać w teatrze, na koncertach. Na przeszkodzie ku temu stoi jej formułka: „Samej nie wypada...”

Musi więc prosić o towarzystwo męża i choć nieraz upodobania ich nie zgadzają się z sobą, jedno musi dla drugiego czynić ofiarę, za którą mąż siebie najczęściej uważa, bo żonie... samej nie wypada.

Kobieta jutra nie będzie wymagała ofiar, sama pójdzie do teatru, na koncert. Nigdy przedewszystkiem nie będzie czuła się samą, — szerzej pojęta praca i obowiązek

otworzą przed nią nowe widnokręgi. Jeżeli los połączy ją z człowiekiem, mającym wspólne z nią ideały, stworzą harmonijny akord wspólnych dążeń; jeżeli zaś ich ideały rozbiegają się, sama w sobie znajdzie dość siły, by zostać przy swoich. Dzieci, praca społeczna, praca nad rozwijaniem własnego umysłu będą jej światem.

Gdy zapragnie iść do teatru, na koncert, — kończy p. C. Walewska, — nie zawaha się przed rozrywką, choćby nikt, bliższy nie dzielił jej z nią, bo ze słownika zwyczajów towarzyskich będą usunięte słowa: „Nie wypada kobiecie ukazywać się samej publicznie...”

Wyborne redagowane pismo dla ludu „Zorza,” zamieszcza w ostatnim № 44 art. „Gorliwej Czytelniczki” p. t. „Dlaczego dziewczęta nasze nie posiadają cnót?” Przyczyną tego, że dziewczęta nasze mają wiele wad — pisze ona — są rodzice, którzy sami będąc nieraz ciemnymi, nie potrafia umiejętnie pokierować dziećmi swemi, wskazać im co złe a co dobre; nie dają oni do tego, by córki, ich uczęły się, rozwijały w sobie dobre instynkty, a nieraz nawet stawiają im na przeszkodzie w dążeniu do tego. Nie dziw więc zatem, że dziewczęta wiejskie, również jak i miejskie, ulegają łatwo podszeptom złych instynktów i padają ofiarą ciemnoty swojej i rodziców. Należy uczyć je, dbać o ich los, nie zaniedbywać ich...

Pszczola.

OD ADMINISTRACYI.

Od Nowego Roku 1903-go wydanie drugie (droższe), „Bluszczu” zostanie zniesione. Cena prenumeraty będzie jedna, pierwszego wydania. Bliższe szczegóły podamy w prospekcie na rok przyszły.

Treść numeru:

Na werandzie (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Metafizyk, przez Zygmunta Dzierżykraya-Morawskiego. — Eliza Orzeszkowa, przez Leona Rygiera (dokończenie). — Fryderyk Chopin w przededniu sławy europejskiej, przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Nasz kwestyonaryusz panieński. — Sztuka i ubranie kobiece, przez S. (dokończenie). — Z listów do „Bluszcza.” Z Medyolanu, przez Felicyę Szreterównę (Ofelię). — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul, przez Pszczolę. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 11-ty powieści Dymitra Mereżkowskiego [p. t. „Zmartwychwstanie bogów” (Leonardo da Vinci), w przekładzie E. Żmijewskiej.

Dodatek: Przegląd mód. — Opis ubiorów i robót (rycin 30). — Przepisy gospodarskie, oraz Tablica krojów.

Szkoła rękodzielnicza cechowa dla kobiet KAZIMIERY MACZYŃSKIEJ ul. Mazowiecka Nr. 11, m. 8.

Przyjmuje na różne rzemiosła: kwalifikuje na nauczycielki robót. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwo cechowe.

Renomowany Magazyn
Farb do włosów, wąsów i brody
Egzystujący od r. 1847
Magazyn posiada różne farby doświadczone i uznane za najlepsze.
Osoby wypisujące listownie raczą nadsyłać próbki swoich włosów, co mi da możność wysłania najdosowniejszej farby.
Firma wysyła za zaliczeniem pocztowym.
Ceny od 1.50 do 3.50 z przesyłką.
W. KWIATKOWSKI
2. Bielańska 2,
róg placu Teatralnego.

PRACOWNIA
Okryć Damskich
i Kostymów Angielskich
St. Kleniewskiego
Krakowskie-Przedmieście № 14,
vis à vis kościoła Świątokrzyskiego.

WYDAWNICTWA
GEBETHNERA i WOLFFA.
Wacław Sieroszewski
POWIEŚCI CHIŃSKIE
UANG-MING-TSE, KULISI
JANG-HUN-TSY (Zamorski djabel).
Cena rb. 1 kop. 50.
Tegoż autora poprzednio wydane:
Brzask — Puszcza Białowiecka. — Grecka szczytina. — Dno nędzy. 1.40
Latorośle. — Pustelnia w górach. — Człuch. Z ilustracjami K. Gorskiego i J. Pankiewicza. 1.20
Na kresach lasów, pow. wyd. 2-e
Risztai, powieść z ilustracjami A. Kamińskiego. 1.20
W matni. Jesienią. — Skradziony chłopak. — Chałłach. — W ofierze Bogom. Wydanie 2-e. 1.—

NA SKU
tek nader licznych podrabiań, każda torebka prawdziwej „Błyskawicy” zaopatrzona jest moim podpisem. Najdoskonalszy oraz najtańszy środek „Błyskawica” do czyszczenia wszelkich metali, nie wala, nie brudzi, nie plami. Torebka tylko 5 kop.
B. LANDY, Warszawa, ul. Leszno № 53. Żądać wszędzie.

DLA MATEK!
Dr. Z. Taussig
Dziecko do lat dwóch
Rady i wskazówki dla matek, przy odżywianiu i pielęgnowaniu dzieci, tudzież zapobieganie ich chorobom.
przekład Dr. I. L.
Cena kop. 60.
Nakład JANA FISZERA w Warszawie
9. Nowy-Świat 9.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny
Ant. STRÓMIŁO
25. BRACKA 25.
Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stoiarnia własna. — Ceny niskie.
Wachlarze, Lalki
najtaniej reperuje i odnawiam. **Skład parasolniczy F. Ryczer, Marszałkowska 94.**

ZOSTAŁA OTWORZONA
Pracownia Bielizny i Haftu
H. ZBRANIECKIEJ
KRÓLEWSKA Nr. 17 (front)
Modele Paryżkie. Wykończenie wykintne. Ceny przystępne.

NOWOŚCI MUZYCZNE
na fortepian na 2 ręce.
BOHM. La Vivandière. Improvisation. —.40
CHOPIN F. Mało znany Mazurek. —.30
MASCAGNI. Gavotte de la poupée. —.30
MOSZKOWSKI. Arabesque. —.40
SARTORIO. Danse de Sylphes. —.40
— Danse de Libellules. —.30
SCHYTTÉ. La Bayadère. —.40
WEBER.
L'Extrainante
Polka de salon
LACK L'Aveu —.40
— Sérénade. —.30
Katalogi na żądanie bezpłatnie.
Wydawnictwo M. ARCTA
w Warszawie, Nowy-Świat № 53.

Dla Pań! Dla Panów!
BOROXYL.
Płyn do utrzymania twarzy w ciągłej odporności przeciw wszelkim atmosferycznym i innym zewnętrznym wpływom.
BOROXYL
chłodzi, odświeża twarz, nadając cerze delikatną, matową białosć.
* **Cena flakonu 60 k.** *
Żądać wszędzie.
Główna sprzedaż w aptece
F. ZAMENHOFA
Warszawa, Plac Żelaznej Bramy 8.
Prospekty gratis i franco.

„BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY”
WYDAWNICTWO TYGODNIOWE.
Wybór najcenniejszych utworów literatury ojczystej i obcej, opracowanych w formie, dostępnej dla dorastającej młodzieży. Rocznie 52 tomy. 5—6 arkuszy druku.
Warunki prenumeraty.
w Warszawie: Rocznie rb. 8
Półrocznie „ 4
Kwartalnie „ 2
Z przesyłką pocztową: Rocznie rb. 9
Półrocznie „ 5
Kwartalnie „ 3
Redakcja i administracja: Warszawa, Wspólna 63.

Encyklopedyi Staropolskiej
Ilustrowanej,
wyszedł tom III-ci
obejmujący wyrazy od K do P, a łącznie z dwoma poprzednimi około dwa tysiące artykułów i kilkadziesiąt ilustracji, rysunków, nut.
Tom ostatni (4-ty) wyjdzie w połowie r. 1903.
Cena całego dzieła w oprawie rub. 12, w księgarniach i redakcyi (ul. Chmielna 59). Po wyjściu tomu 4-go i obliczeniu ogólnych kosztów wydawnictwa, cena powyższa będzie prawdopodobnie podwyższona.
Osoby nie przysyłające pieniędzy, mogą żądać listownie (ul. Chmielna 59), wysyłki tomów oprawnych, wskazując czytelny i dokładny adres, a otrzymując dzieło za zaliczką pocztową, t. j. za zapłatą przy odbiorze.

Dla użytku domowego i samouków

Metoda Kroju i Szycia

z rysunkami Sukien, Okryć damskich i dzieciennych

EMILJI EHRENKREUTZ

Mistrzini Cechowej z dyplomem paryskim

dn nabycia w księgarniach oraz w **SZKOLE KROJU w Warszawie.**
ZGODA 3-CHMIELNA 24. Cena rb. 2.

PRACOWNIA KÓLDER

MARY POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.

Ceny przystępne.

Bacność!



Bacność!

T. Z. OSIŃSKI

WARSZAWA

142. MARSZAŁKOWSKA 142.

Porcelana. * Fajanse.

Kryształ. * * Majolika.

Wyroby Terrakotowe.

Wybór wielki. Ceny niskie.

WŁASNA MALARNIA.

I. WASIŃSKI

12, Mazowiecka 12.

Warszawa.

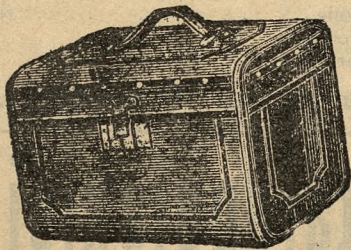
PORTMONETKI. PORTFELE.

NESESERY DAMSKIE i MĘZKIE.

NESESERY DO ROBÓTEK RĘCZNYCH.

WYBÓR WIELKI.

CENY PRZYSTĘPNE.



Kalosze letnie i zimowe
wszystkich fasonów; **Płaszcz**
e i peleryny nieprzemakalne;
Buty filcowe i wojłokowe;
Buciki, półbuciki ciepłe męskie,
damskie i dzieciennie; **Serdaki**

męskie, damskie i dzieciennie; **Kurtki** skórzane
(szwedzkie); **Pledy**; **Koldry** bajowe podróżne;
Dery; **Burki** sławuckie; **Kufry**; **Walizy**; **Torby**
i **Nessesery** poleca **Centralny Skład Fabryczny**

J. ROKICKI i S-ka

WARSZAWA,

1. Nowo-Senatorska 1.

HOTEL RZYMSKI.

Ceny fabryczne.

Cenniki na żądanie gratis.



GŁÓWNY SKŁAD ŻYWARDOWSKI

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 55 W WARSZAWIE.

Poleca w wielkim wyborze:

PLÓTNA, STOŁOWĄ BIELIZNĘ, RĘCZNIKI i t. d.
letniego bielenia.

CHUSTKI DO NOSA BIAŁE I KOLOROWE.

MATERJAŁY PUCHOWE. * FLANELE. * BARCHANY.

WYROBY POŃCZOSZNICZE.

BIELIZNĘ DAMSKĄ i MĘZKĄ. WYPRAWY GOTOWE.

FIRANKI OD RB. 2.75 ZA OKNO. DYWANY. PORTJERY.

SZANOWNE PANIE.

Oszczędność to cnota społeczna!!
Uwagde Ich polecamy znany w Warszawie Zakład Re-
paracyi, czyszczenia, prania chemicznie, przerabiania we-
dług mody garderoby Męskiej i Damskiej. Marszałkowska 143, w podwórzu. **JAN.**



Nowe modne perfumy

„Apotheose“

Fabr. L. Legrand, Paryż.

HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, 16 Mazowiecka 16.

PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN



Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozpłaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

Angelus — Orchestral „SYMPHONY”

Pianino — „CROWN”

Cenniki ilustrowane gratis.

Telefon № 812.

Formy i Modele

nadchodzą co tydzień świeże z Pa-
ryża, papierowe i muslinowe na
wszelkie ubiory damskie i dzie-
cinne w wielkim wyborze z pierw-
sorzędnych firm. Rekomendują się zarówno W. Paniom pry-
watnym, jak i W. Paniom krawcowym.

Do nabycia w magazynie **J. SKWARA Niecała 14.**

Nauka Kroju

systemem francuzkim lub angielskim.
Kurs teoretyczny i praktyczny. Nau-
czyciel kroju **Kazimierz Lewański**
wynalazca dyplomowanego „PATRONU
EXPRESS”. Adres: **NIECAŁA № 14, w Magazynie okryć**
damskich **J. SKWARA.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.** — Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Ноября 1902 г.

Druk. Piotra Laskauera i S-ki, Ś-to Krzyzka 11.